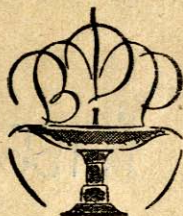


64

ANNA ZAHORSKA (SAVITRI).

# Odrutowana okolica



Nr. 64.

WARSZATA  
NOWA  
WARSZATA

**BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO**

1

9

2

5

WARSZATA  
NOWA



Księgozbiór  
Humanistyczny

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0453207

Tłoczono w Zakł. Graficznych  
B. Wierzbicki i S-ka  
w Warszawie.

Projekt okładki wykonano w atelier „G R A F I K”, Warszawa



Opt.

174664

2/11/2015H

18,00p



I.

Pani Zastrożna zbliżała się do Dubowa.

Mały wózek, wysłany sianem i kraciastym samodziąłem z lnu, podskakiwał na wybojach grobli. Po obu stronach grobli ciągnęły się „popławy“, mokre łąki, białe od wełnianki, to znów fioletowe od storczyków i smótek. Gdzieniegdzie czerniał bolesny lej wyrwy od pocisku.

Coś zahamowało ruch wózka. Woźnica obejrzał się i zaklął:

— Wouk ciabie jesz!

Gruby drut kolczasty zaczepił się za koło i włókł się za niem, jak wielka żmija, unosząca swe skręty.

Woźnica zlął z deseczki, zastępującej kozioł i odczepił drut. Pojechali dalej przez mostek z grubych, tańczących pod kołami berwion. Szpary między nimi były tak wielkie, że mogłyby uwięzić kopyto. Ale mały, cierpliwy i niezmiernie powolny konik szaro-brunatny przeszedł szczęśliwie.

— Patrzaj, Józiu, co za most, że też nikt nie naprawia? — podjęła pani Zastrożna.

— Da, panieczka, kto ma naprawiać? Gmina uradziła, żeby wychodzili na robotę — wyszli, postali. pokrzyczeli — wbili dwa kolki i poszli. Za cara, powiadają, kazna drogi i mosty reperowała.

— Własne ich konie nogi połamią, — zawyrokowała pani Zastrożna, — a chochy i ten drut...



— Drotu nadto wiele, panieczka. Drotował tu Niemiec, drotował Moskal, niczem garnek pęknięty odrutowali pola i lasy. Porobili my płoty, brali na gwoździe — nie wyprowadzić stąd drotu. Całe zagrodzenia z kółkami poprzewracane po polach się walają. Drot krzaki okręcił, nie dostać malin. Drot w lesie drogi nie daje. Drot w trawie, jak żmija leży, w nogi kolce wbija.

— Pod Konstantynowem całe pole drotu zwieźli — jak cmentarz drotu — leży na kilometr drogi, — zauważyła pani Zastrożna.

— Nieprędko uprzątą, nieprędko — bo i kto sprzątać ma?

Skręcili w aleje, obrośnięte gęsto olszyną i topolami. Szary, próchniejący krzyż z małą zardzewiałą pasyjką stał na zakręcie.

Wszystko się zmieniło w okolicy. Nie poznać drzew rozrośniętych, nowych dróg utworowanych, poleteków chciwie wchłoniętych przez młode brzeźniaki.

Tylko ten krzyż pod granatami, kulami, wśród burz i powodzi różnoplemiennych mas wojska — ocalał.

Pani Zastrożna zatrzymała konia, zesłała i żarliwie odmówiła krótki pacierz.

\* \* \*

Wracała do ziemi ojców swoich. Tu się urodziła, tu gospodarzyła wraz z mężem swoim po śmierci ojca. Tu urodziły się jej dzieci. Na dalekiem wygnaniu, gdy wojna wyrzuciła ich na wschód, umarł towarzysz jej życia. W zawierusze wojny odszedł od niej syn.

Wracała sama na zgliszcza...

Zdaleka szarzały dachy kilku budynków.

Szła powoli, rozglądając się dokoła. Witaała zagony, obsiane cudzemi rękami. Poznała po rzadkich i chudych kłosach, jak wyniszczony i strudzony jest grunt.

Przeszła przez wrótnię złamaną i zwisającą, jak wielkie przetrącone skrzydło. Ujrzała szkielet topoli, która ongi ocieniała ganek domu. Zwiędła wśród dymów armatnich, wśród gazów trujących. Martwe i nieruchome rozciągały się konary na tle nieba, jak ręce błagalne, poczerniałe w męce. U stóp topoli ział ogromny okop — jak otwarta mogiła.

Na miejscu domu sterczał tylko fundament z białego kamienia i komin opalony, na rumowisku z cegieł na obraz pomnika żałobnego.

A już na miejsce, gdzie ongi było schronienie człowieka, wtargnęła dzika roślinność. Głogi kwitnące różowemi płachtami pozasłaniały bolesne blizny ziemi, okryły białe kamienie, podobne do czaszek, schowały cegły w gęstwi zielonej.

Pani Zastrożna długo patrzyła na zgliszcza. Potem obejrzała się dokoła. Ujrzała, że brakuje węglarni, kuźni, świronka, serowni. Znikła bez śladu wspaniała odryna, błyszcząca białemi tarcicami, aż ją było widać na drugim brzegu Wiszniewskiego jeziora. Świeżo wybudowana przed wojną, stanowiła ona chlubę jej męża i obiekt jego dumy wobec sąsiadów.

Nadbiegł szary, wyleniały pies i zaczął wściekle ujadać. Wtedy z czworaka wypełził dziad w lnianej koszuli, spodniach żołnierskich, łapciach i kożuchu. Ręką przykrył oczy, wypatrując ostrożnie, ktoby zaczął mógł zakłócić zadrzemany spokój zgliszczy. Poznał snadź i ruszył wartko ku pani.

— Da, panieczka, przyjechała taki nareszcie! A my czekali, czekali...

W głosie jego było zresztą mało zachwyty.

— Jak się masz, Wincuk! Kto tu sieje?

— Da kurnicy ludzie sieją, a od strony błota — Bazyl Kwaterny.

— Komu dają część?

— Jak byli bolszewiki, sami wszystko brali.



A w tym roku, jak przyszły legjony, legjon jeden dla wojska brał — teraz we żniwa dzielić będziemy.

— Kto spalił dom?

Dziad podrapał się z wahaniem w głowę. Ale uznał widać, że na nic się nie zda ukrywać prawdę.

— Jak ruskie poszli, dom jeszcze stał.

— To Niemcy spalili?

— Jak Germaniec poszedł, dom jeszcze stał.

— To któż spalił?

— Swoje ludzisko — kurnickie. Żeby nie wracała stara pani, powiadają, — nia treba nam panou, — ziemiłu sabie woźmiem.

— A na poletku koło Kurników, co na nim nasz leśnik siał, kto teraz sieje?

— A leśnik, Mikołaj. Mówi, że to już jego, nikomu nie oddaje.

— A w Antonówce, na folwarku, kto?

— Daniła z Korolewca, mówi, że już sześć lat siedzi, od gminy wziął w dzierżawę. Jeszcze cztery lata posiedzi, będzie jego. Pan Osmałowski takie prawo napisał.

Pani Zastrożna wysłuchiwała tego w milczeniu.

— A panieczka kiedy jedziesz z powrotem? — zapytał dziad chytrze a ostrożnie.

Pani Zastrożna odwróciła się surowo.

— Ja wcale stąd nie jadę. — przecięła kwestję ostro a bezapelacyjnie.

— A gdzie panieczka mieszkać będziesz? — zaryzykował dziad dalsze pytanie.

— Oswobodź połowę czworaka, Nastula jest? Zamaż może wysła?

— Nie, siedzi przy mnie.

— Niech wymyje podłogę.

— Ale panieczka, nadto niebezpiecznie tu być. Bandyce chodzą. Wilki. Ludziom odebrali strzelby, nie dają prawa na broń. Wilków tak się namnożyło,

aż pod wieś zachodzą. I kurniccy ludzisko powiedzieli, co nie dadzą panieczce tu być.

Pani Zastrożna podniosła głowę i z niespożyta energją kresową, energją całych pokoleń człowieczych, żyjących w ogniu walki na rubieży, powiedziała, zwracając się w stronę wioski, szarzejącej w oddali:

— Zobaczymy!

## II.

Kusztajko z kłutwą złego humoru zawrócił pług do domu. Zaorał właśnie poletek i czuł ból we wszystkich swych starych, ale krzepkich jeszcze kościach.

Odkąd zapanowali tu bolszewicy, nie można było dostać robotnika. Musiał sam pracować, w obawie, żeby nie odebrali mu ziemi.

Bolszewicki ucisk i haracze wzburzały w nim żółć. Dusila go po dniach całych piekąca, straszliwa nienawiść. Ciekła w jego żyłach, jak bolesna lawa. Miotła nim, jak febra.

Była w każdej cząstce jego ciała, jak ciężka niemoc.

— Bo co to, żeby czyją własność zabierać! — mrucał, prowadząc konia: — ja orał, ja siał, a taki *parsiuk* bolszewicki przyjdzie żreć!

Przybywszy do folwarku, odprzągł i postawił potulnego, zmęczonego konia do stajni, wsunął pług pod powietkę i skierował się ku domowi.

Był to dworek niewielki, drewniany, jakich wiele jest w tych stronach. Ogródek koło niego, zamiast kwiatów, zasadzony był ogórkami. Wśród niskich roślin wznosiło się tylko kilka anemicznych słoneczników. Nikt nie starał się tu narzucić na nagą codzienność jakiejś ozdobnej zasłony.

Kusztajko wszedł przez kuchnię. Żona jego, wiejska baba w płóciennej koszuli, spódnicy z wyblakłego niebieskiego samodziału w kraty, w czarnej chustce z żółtym szlakiem na głowie, stała przed wielkim



piecem. Ogień oświecał jej tępe i chytne rysy chłopki, słońcem obronzone, że płonęły niesamowitym odblaskiem. Haczykiem, osadzonym na długim kiju, Kusztejkowa energicznie wyjmowała z przed ognia piekące się bliny.

— No, co, Kateryna, śniadanie jest? — rzekł Kusztejko, siadając przy stole dużej, niechlujnej kuchni.

Kusztejko ożenił się z chłopką prawosławną, żeby dać nazwisko dzieciom, do których się przywiązał. Był szlachcicem, ale z chwilą ożenku znalazł się poza obrębem życia towarzyskiego swej sfery. Pani Grabczańska, z domu Dziurdzielewiczówna, ani też pani Gwoździkowska, z domu Około-Kułak, nie mogły być u Kateryny, z domu prosto Kułak.

Była to renegacja podwójna: swojej klasy i swego narodu. Wtedy jeszcze nie był wyszedł ukaz o tolerancji. Każdy, kto zenił się z prawosławną, oddawał w ręce wroga swoje potomstwo i swoją ziemię.

Odsunięty przez ziemian, Kusztejko coraz to bardziej dziczał i chłopiał. W dodatku, baba była pod wpływem popa, gorliwego członka bractwa św. Zofji i „Sojuza ruskawo naroda“, czyli czarnej sotni, zaś Kusztejko, poza atakami zwierzęcej furji, jakie go czasem opanowywały, kiedy bił w babę, jak w bęben, popadał coraz bardziej pod jej wpływ.

Z synów Jana i Aleksego stali się Wania i Alo-sza, na nauki posłano ich do Petersburga. W domu panował język „tutejszy“, chłopsko-białoruski. Z chłopcami ojciec nie mówił po polsku, żeby nie popełniali polonizmów w szkołach i nie zepsuli sobie karjery. Via Petersburg przesączała się tu coraz większa rusyfikacja.

Był to materiał z góry przeznaczony na ekspatrjację, tak samo, jak ziemia była przeznaczona na przejście w ręce rosyjskie.

Przez niedomknięte, poczerniałe drzwi wpadły

dwa prosiaki i śmiesznie wykonywując te same ruchy, jak dwaj szeregowcy, wparły się ryjkami w drewniane korytko z pomyjami. Przechyliły je, potem włożyły w nie przednimi nogami, wydając odgłosy prawdziwego zadowolenia. Srokata kura wkroczyła, gdacząc, skierowała się ku korytku i usiadłszy na brzegu, dziobnęła parę razy. Prosiak przepłoszył ją złowrogiem chrząknięciem.

Kusztejkowa postawiła na stół miskę blinów i śmietaną w małej miseczce. Do kuchni wsunął się zgnębiony blondynek w chłopskich samodziałach. Zasiadli razem i jedli bliny palcami, maczając w śmietanie.

— Skosiłeś łąkę? — zapytał Kusztejko.

— Do olszniaka, — krótko odrzekł syn.

Kusztejko z pasją porwał się z miejsca. Żyłu mu na szyi nabrzmiały, twarz sponsowiała, jak kora-le indyka.

— Ty co sobie myślisz, sukinsynu, od rana tylko do olszniaka? Mazgaileś się, za Pitrem wzdychałeś? Chcesz, żeby bolszewiki za ciebie siano zdjęli?

— Ojciec wie, że nie jestem mocny, nieprzyzwyczajony, — odezwał się Jan, — nie trzeba mnie było do szkół oddawać.

— Ojciec chciał ciebie wykierować na pana! — ozwała się Kateryna sentencjonalnie.

— A jak na pana, tak niechaj się nie gniewa, że nie mogę robić, jak parobek.

Kusztejko usiadł i jadał w milczeniu, mlaskając pracowicie i ze złym humorem. Dusił go od rana złość nieuzasadniona, szukająca tylko powodu do wybuchu. Przypominał sobie wszystko, co go gnębiło w życiu całym i co go gnębiło od rana: pogardę sąsiadów-Polaków, niepowodzenia gospodarcze, niechlujstwo i niski poziom kulturalny domu, tak niepodobny do tego, co było za rodziców, opieszałość swna w robocie, bolszewików...



— A gdzie Tańka? — nagle przypomniał sobie.

— Tańka do miasteczka poszła, Proletkult przedstawił urzęda i ją prosili.

Kuszejko grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły miski, a łyżka cynowa z brzękiem spadła.

— Mówiłem tobie, k'czortowej materi, nie puszczać dziewczyny do bolszewików! Chcesz, żeby ci córka bolszewicki ślub z żydem wzięła? Co dwa tygodnie z innym?

— Młoda ona, nudno jej w domu — usprawiedliwiała się Kateryna.

— A nudno, niech pracuje! — odwarknął Kuszejko.

Jan znudzony sięgnął po czapkę i poszedł do roboty. Kuszejkowa, dla uniknięcia dyskusji, niby zaganiając prosiaki, wysunęła się z izby.

Kuszejko pozostał nad zarzuconym okruciami stołem, gdzie pośrodku leżał ledwo napoczęty bochenek chleba. Dusila go dalej dzika pasja.

Ta córka, jaskrawo i niegustownie ubierana przez matkę w miejskie suknie, była symbolem jego degradacji życiowej, jego wykolejenia. Kateryna słusznie rozumowała, że synowie, pokończywszy szkoły, gdzieś tam na szerokim świecie, jeżeli nie w sąsiedztwie znajdują odpowiednie żony, i środowisko „pańskie“. Dziewczyny nie puściłyby na zepsucie do miasta. Dla niej jedyną partją mógłby być nauczyciel wiejski, drobny dzierżawca lub szlachcic zaściankowy, mało różniący się od chłopca. Nie starała się więc jej edukować, przypuszczając, że edukacja byłaby dla niej tylko balastem, utrudniającym żeglugę życiową po moczarach białoruskich.

Tatjana krzątała się więc, krzykliwa i niechlujna, po obejściu Kuszejki, podobna we wszystkim do matki.

Zmoskwiciwszy synów dla kariery, Kuszejko pragnął tajemnie, żeby ta córka wyszła zamaż za ka-

tolika i utrzymała rwącą się prawie zupełnie nie łączności z polskością. Czuła to może podświadomie Kateryna. Pchając córkę do bolszewików, widziała w nich przede wszystkim prawosławnych, ruskich ludzi. A tylko z pośród takich życzyła sobie mieć zięcia.

Kuszejko wstał wreszcie, wziął siekiere i zwrócił się ku drzwiom. Trzeba było urąbać drzewa.

Ale drzwi w tej chwili szeroko przesłoniła sobą postać brodata. W koszuli koloru chakki, przepasanej rzemieniem, w spodniach nieokreślonego koloru, w butach, otwierających dzioby, przez które widać było brudne i wykorkawione palce, w dużej czapce baraniej, zwanej „papachą“ — postać ta była aż nadto charakterystyczna.

Człowiek z siekiere w rękę patrzył w milczeniu na przybyłego bolszewika. Cyniczny i okrutny wyraz jego twarzy wzbudził w Kuszejce znowu wszystkie zdrzemane na chwilę brytany pasji i nienawiści. Trucizna niewidzialnymi rurkami ciekła od brodatej, dzikiej postaci i wlewała się w żyły Kuszejki.

— Czego? — tchnął wreszcie z odrazą, jakby się dusząc.

— Daleko do Szemietowszczyzny? — zagadnął przybyły szorstko i rozkazująco. — Do Sowchozu idę, przykomenderowany, — dorzucił w zamiarze wzniecenia popłochu.

Nazwy wszelkich władz i instytucji sowieckich działały na ludność magicznie, jak przerażające i żądne ofiar fetysze.

— Wiorst ze sześć będzie, — odparł niechętnie Kuszejko.

— A jak będzie wiorst ze sześć, tak ty mi jeść dawaj, — rozkazał bolszewik, — daleko iść.

— Niema co jeść, sami boćwiną żyjemy, gospodyni wyszła, — odmawiał Kuszejko.

— Jakto niema co jeść? A chleb u ciebie — to co? Nie jedzenie? Dawaj natychmiast!



— Kartkę na rekwizycję masz?

— Ot tobie kartka na rekwizycję — masz, sukiny syn!

I podsunął mu pod nos ogromną i brudną pięść.

Kuszejko ścisnął siekiere w garści, aż chrupnęła któraś kostka jego ogromnej, zgrubiałej i węzlistej dłoni. Powstrzymał się jeszcze.

Ale kiedy bolszewik z rehotem sięgnął po bochen, szybkim rzutem odtrącił go i zasłonił chleb.

— Ostatni pud na przednówku dojadam — a ty grabić cudze przyszedłeś! Ty orał, ty siał?

Brodacz ujął się w boki, zsunął papachę na tył spoconej głowy i zarechotał:

— Bolszewizm jest po to, żeby nie orać i nie siać, a zawsze jeść!

I znowu posunął się do chleba. Szaleństwo uderzyło do głowy Kuszejce. W oczach miał czerwień, pierś dusiła nienawiść aż do bólu. Pierwej, nim pomyślał, siekiera straszliwym zamachem spadła na głowę wydziercy.

Bolszewik trzepnął rękami, chwytając za krawędź stołu i runął, przewracając stół. Rzeźił niewyraźnie. Konwulsyjne ruchy jego nóg rozśmieszyły Kuszejkę.

Z przerabanej głowy ciekła krew i coraz to większa kałuża szybko tworzyła się na podłodze. Dosięgła chleba, który spadł na podłogę.

Kuszejko podniósł go, otarł i położył na oknie. Był teraz spokojny. Wściekłość jego wyładowała się. Nie żałował swego czynu. Wszak bronił swego.

Bolszewik znieruchomiał ostatecznie. Był martwy. Ale krew jeszcze ciekła i ciekła i kałuża rozlewała się coraz szerzej. Krew ruszała się jak żywa.

\* \* \*

Kateryna weszła po długiej chwili do kuchni. Kuszejko stał wciąż jeszcze zatroskany, nie wypusz-

czając siekiery z rąk i przeżuwał obawę klęsk, jakie na niego spaść mogą.

— Zabił człowieka, Boże, zabił człowieka, Spase Przeczysty! — zaczęła lamentować Kateryna.

— Nie wyj, — mruknął Kuszejko, — musiałem się bronić, chleb odbierał, — nie wyj, cała wieś zaraz się zleci!

Kateryna przyciszyła swe zawrodo.

— Za chleb człowieka zabił — rozbójnik! Mikołaju Cudotwórcu, chroń nas od złego!

Stała nad krwawą kałużą, trzęsła się i kładła na ramiona prędkie, pobieżne znaki krzyża, kłaniając się w pas ikonom.

Kuszejko patrzył na nią zwięzonymi źrenicami, w których czaiła się myśl straszna. Otworzył rękę i siekiera z głuchym stukiem wypadła na ziemię.

— Ty, — wycharczał, — przez ciebie zabiłem. Ty odebrałaś mi Boga.

— Ja?! Co ty gadasz? Czyż nie sprowadzałam popa Siemiona, żeby ciebie do wiary prawdziwej nakłonił?

Kuszejko wskazał gestem tragicznym ściany.

— Tu niema *mojego* Boga. Tu wisi cudza Matka Boska.

Kateryna zacisnęła usta w zacięcie.

— To jest prawdziwa Bohorodica.

— Ty zabrałaś mi wiarę ojców. Mnie i dzieciom moim. Czepiałaś się mnie, jak suka, rękami i nogami, ciągnęłaś, jak topielica na dno.

Kateryna zakryła twarz wykrzywioną złością fartuchem i chlipnęła niegłośno, przez ostrożność:

— Taka moja nagroda... za cześć dziewczicą, za dzieci, za moje ciężkie harowanie...

Kuszejko machnął beznadziejnie ręką.

— Trupa prędzejby sprzątnąć, — poddała po chwili Kateryna, odkładając rozpoczętą scenę do spóźnionej chwili.



Nachylili się i wywlekli zabitego do komory ze staremi gratami, otwierającej się do sieni. Kateryna zaczęła ścierać krew z podłogi.

Wbiegł pies, zamerdał ogonem, powąchał powietrze i zawył. Kusztejko uderzył go. Umilkł wtedy i zaczął chleptać krew z kałuży, aż go odpędzono.

Kusztejkowie posypali jeszcze ziemię czystym piaskiem, poczem usiedli na ławie i zaczęli medytować.

Zdaleka zadźwięczała harmonja i zaczęła zbliżać się ku domowi. Muzyka urywała się i słychać było swawolne, rozwydrzone śmiechy.

— Tańka idzie z kawalerem, — szepnęła Kateryna, — nie wydaj się. Zgubisz wszystkich nas.

Drzwi się otworzyły i wkroczyła pucufowata, rudowłosa Tańka w różowej bluzce, ciemno-zielonej spódnicy, brązowych pończochach i półbucikach. Za nią kroczył z harmonją kędzierzawy blondyn w marynarce, włożonej na przepasaną koszulę.

— Gościa prowadzę, — zaczęła Tańka trochę niepewnie.

I jeszcze bardziej ją zdziwiło, że nie widzi w oczach ojca błysków gniewu. Siedział zgaszony i przygarbiony.

— Dzień dobry, — zaczął gość niedbale i nazbyt lekceważąco.

Nagle nachylił się i podniósł koło progu papachę, której nie zauważył zabójca i jego żona.

— A to co? Nasz brat już tu był z wizytą?

Ale przełożył czapkę do drugiej ręki z grymasem. Była we krwi i ręka jego stała się lepka i czerwona.

— Co to? Krew? — Co u was tu było?

— Moja czapka, poranił się i zrzucił, ot co, — rzekł leniwie Kusztejko.

Ale przybyły już ją obejrzał i wyciągał z za fałdy podszewki papier.

— Przepustka dla Wasyla Skorobojnikowa, wy-

delegowanego do Sowchoza w Szemietowszczyźnie, Witebskiej gubernji, — przeczytał.

Spojrzał badawczo i przysiadł się do Kusztejki.

— Wy mnie prawdę mówcie, ja wam człowiek życzliwy, mnie towarzyszka Tatjana bardzo do serca przypada, życiodawcy jej szkodzić nie będę — a jeżeli u was jaka sprawa — ja was przed Rewkodem wykrecę.

— Żadnej niema sprawy, — mruknął Kusztejko.

— Ja wiem, nasi chodzą po wsiach i dworach, rekwirują, czasem którego i zakatrupią. Ale zawsze sprawcę odszukają. Sprawiedliwość rewolucyjna jest szybka i nieuchronna.

Tańka się wmieszała.

— Ojciec niech mówi, towarzysz Sasza swój człowiek, on ojca wypłacze, jeżeli w razie czego...

Kusztejko widział się przyłapanym. Opowiedział więc wszystko.

— On mnie napadł pierwszy, — tłumaczył się kłamliwie na swoją obronę.

— Tak to, tak, ale świadków na to nie macie.

Towarzysz Sasza zamyślił się.

— Ze Szłomą Berkowiczem wy jesteście dobrze? Z prezesem Rewtrybunału?

— Ze Szłomą? Oj, nie, my z nim proces o sprzedane zboże mieli.

Towarzysz Sasza siedział, patrząc na swoje buty i gwizdał. Nagle podniósł głowę i powiedział:

— To dla was niema innej rady, jak uciekać za kordon.

I dodał:

— Z synem razem. Jak was nie będzie, syna wezmą. Gdyby Berkowicz nic przeciw wam nie miał, ja by was wyciągnął. Ale czy ja wiem... Może on wam Skorobojnikowa umyślnie nasłał, żeby was sprowokować. W nierówną godzinę i sam trafisz pod ściankę.



Kusztejko patrzył ogłupiały, jak wół przed szlach-  
tuzem.

— A jak przejść kordon?

— Przez zieloną granicę. To ja zrobić mogę —  
przeprowadzę. U mnie tam przyjaciel na granicy.

Przysnął się pounie.

— Ale jemu trzeba dać w łapę co najmniej pięć-  
dziesiąt rubli złotem.

— Znajdzie się, — śpiesznie powiedziała Kate-  
ryna.

Kusztejko spiorunował ją wzrokiem, bo czuł, że  
można było utargować cokolwiek. Baba tak była prze-  
rażona, że straciła zwykłą ostrożność skąpstwa.

— A z wami co? — zwrócił się Kusztejko do ko-  
biet.

— Już kobiety to ja obronię, i ziemi konfiskować  
nie dam — z kobietami łatwiej, Tatjana Iwanowna  
u nas w Proletkulcie, cóż, ona nie odpowiada, że oj-  
ciec kontrrewolucjonista. Pocichu możecie się tu do-  
wiadywać.

— Towarzysz Sasza będzie się nami opiekował, —  
pisała Tańka z krowią zalotnością.

Kusztejkę poderwało całego.

— Nie ruszę się stąd wcale, — wycedził ponuro.

— Tak, a pójdziesz pod ściankę, a my wszyscy  
do więzienia, — zajęczała Kateryna, — Berkowicz cię  
zgubi.

Kusztejko zgiął głowę przed nieuchronnym lo-  
sem.

\* \* \*

W nocy dwaj Kusztejkowie przedzierali się przez  
las. Wyszli wreszcie na skraj i ujrzeli placówkę.

Rzecz była umówiona. Stary wcisnął złoto do rę-  
ki bolszewickiego żołnierza, poczem ten odwrócił się  
ku kolegom, udającym ślepych i głuchych, i mach-  
nął na zbiegów ręką.

Poszli prędko, zagłębiając się w noc. Cicho wiał  
wiatr zachodni. Krzewy szeptały, głosząc ich po  
rękach mokremi gałęzmi.

To była już ziemia polska.

Stary Kusztejko czuł, że odrywa się od tego nis-  
kiego, obcego istnienia, które na własnym gruncie  
trzymało go przez lat tyle. Idzie w granice Rzeczypos-  
politej, by stać się znowu Polakiem, szlachcicem, by  
odnaleźć odwieczną formę bytowania, obyczaj zdepta-  
ny przodków swoich.

Nagle Jan chlipnął obok niego.

— Czego się mażesz, osłe? — syknął Kusztejko.  
Jan łkał żałośnie, rozdzierająco.

— Rosji mi... żal... żal..., — wykrztusił.

### III.

Pani Zastrożna wyszła na ganek czworaku, w któ-  
rym gnieździła się tymczasowo. Przed gankiem sta-  
nął wóz, z którego stary pastuch, Wincuk i nowy pa-  
robek, Czurlis, uchodźca z Litwy Kowieńskiej, wyła-  
dowywali szafę.

Szafa ta, zrabowana ze dworu, została odebrana  
od jednego z włościan okolicznych.

— Pani, — powiedział Czurlis, — oni grożą, da  
tak grożą, że budynki popalą. Przeklinają Polskę —  
bolszewik dał, a pany odbierają, gadają oni. Ich by  
pod Litwina, niech spróbują. Ale za takich sąsiadów  
ja dziękuję — acziu!

Splunął i zabrał się dalej do dźwigania.

Pani Zastrożna zacisnęła chustkę na piersiach  
i popatrzyła ku wiosce. Szarą wstęgą wśród zieleni  
leżała cicho, jak wąż przyczajony.

Czurlis wyszedł znowu na ganek, ustawiwszy  
szafę w izbie. Ocierając pot, wykladał nudne, szare,  
codzienne sprawy, osaczające żywego człowieka, jak  
roje os:

— Poletek pod Horynią spałsi Byczewickie lu-



dzie... Zajął konie, ale rzucili się z kołami, musiał puścić. W borze trzy sosny wyrabali, ślad po rosie do Kurników prowadzi. Ciołkę z za krzaka ktoś dźgnął widłami, leży na polu, zdycha...

Pani Zastrożna poruszyła się zjawo.

— Która? Łaciata? — zapytała z niepokojem.

— A jakże, najlepsza ciołka!

Pani Zastrożna westchnęła, i zepchnęła tem westchnieniem w głąb swej duszy jeszcze jedną krzywdę, jak kamień w studnię.

— A robotnika dostałeś? — zagadnęła.

— Ni! Nie idzie nikt. Śmieją się. — Niech sama orze, — powiadają, — my panom robić nie będziemy! A i poco im robić: nakradli, cudzego nabrali, podudowali się z pańskiego lasu, z pańskich majątków tyli czas zbierali, co im za niedola robić! Im z powały masło samo do gęby kapie!

Czurlis powstał jeszcze.

— Ja pani mówię, — ozwał się jeszcze, — co pani tu rady nie dasz. Dzierżawcę trzeba wziąć. Już on sobie ludzi znajdzie.

Pani Zastrożna w milczeniu skinęła głową. Już od dłuższego czasu nie widziała innego wyjścia w swem położeniu.

— Gdyby choć panicz był, — pokiwał głową Czurlis.

Pani Zastrożna spuściła głowę. Jej Michaś! Dla niego ratowała te zgłiszcza. Niech ma gdzie wrócić, gdy się odnajdzie u bolszewików sterany, zgłodniały, może kaleki i chory...

W alei topolowej ukazał się człowiek stary, ale krzepki, ubrany ochędźnie w samodział, wyglądający od waszecia. Szedł prosto do ganku, do mieszkańców dworu, którzy, obyczajem miejscowym, kryli ciekawość pod maską flegmatycznej obojętności.

Staął, oparł się na kijku dwoma rękami i zapytał:

— Pani Zastrożna jest?

— Ja jestem, — odparła dziedziczka.

— Do pani i idę. Odpocząć po drodze można?

Pani Zastrożna zaprosiła go do wnętrza izby, już przemienionej w schronisko inteligentkie. Czyste łóżko, firanki, parę obrazków na ścianie, trochę książek na półce — wszystko to pachniało kulturą w zdziżalej, spustoszonej okolicy.

— Kusztejko jestem, z Witebszczyzny, — rzekł kłaniając się, przybyły.

— Z pod bolszewika?

— A tak.

— A z jakiej parafji? Daleko od Witebska? — pytała pani Zastrożna, wskazując krzesło.

Kusztejko usiadł.

— A cztery mile będzie.

— To tam blisko Wojewódzcy siedzą. I Czypczynisowicze w Mularzach.

— A toż moja matka była Czypczynisowiczówna z domu.

— A nasza wujenka, Hurynowiczowa, owdowiawszy, za Czypczynisowicza zamaż wyszła.

— Ale nie za naszego chyba?

— Pewnie, że nie. Ale z Witebszczyzny też, z Libaszkowa za jeziorem Dymanowskim, niedaleko od państwa Żabów.

Wyprowadzona koligacja natchnęła panią Zastrożną pewnem zaufaniem.

— A dawno pan z pod bolszewika? — zapytała ostrożnie.

— Miesiąc, jak uciekł. Chciał ja na ziemi się utrzymać, folwark tam mam — nie dali.

— Oni by tam dali Polakowi, — przytaknęła pani Zastrożna, — a teraz co pan będziesz robił?

Kusztejko pomilczał.

— Pieniądzy trochę wyniósł, dzierżawy szukam, —



wymówił obojętnie, jakby to ich obojga nie dotyczyło.

Pani Zastrożna zawołała Nastulę i kazała na stawić samowar.

— U nas, choć już bolszewika niema, taka ruina. że nie daj Boże, — mówiła, — ot, chce pan popatrzeć. co jeszcze z folwarku zostało? Pójdziem, a nam Nastula herbaty przygotowuje.

Kusztajko powstał, prosząc nie robić subjeckji z herbatą i wyszedł za dziedzičką.

Po paru kwadransach wrócili i zasiedli przy samowarze. Pijąc herbatę z chlebem, masłem, wędliną i konfiturami, ustalili główne punkta umowy dzierżawnej na lat sześć.

#### IV.

Jan Komar wysiadł z lichego wozu, który się zatrzymał przed kancelarją rejonowego w Krzywiczach.

Zapłacił ostatnie pieniądze woźnicy, chłopu z ponurą i złą twarzą, obciągnął wyświechtany mundur zdemobilizowanego porucznika ułanów i wszedł do kancelarji.

Rejonowy siedział w pustej i brudnej izbie przy stole, nad którym wisiał herb państwa.

— Czego panu? — ostro i niegrzecznie zapytał rejonowy.

Autorytet buchnął na Komara, jak fala mrozu. Sztynna i nadęta twarz rejonowego, wepchnięta w wiechę żółtych włosów, jak pięść w mufkę, przypomniła mu dawne czasy. To kiedyś już było... Jako wyrostek stał tak kiedyś przed asesorem, czyli przystawem, i załatwiał sprawę jakichś wpłat, znosząc w milczeniu ciosy brutalności.

Pomimo innego munduru urzędnika policji, spojrział mimowoli na ścianę... Ach, tak, tu jeszcze powinien być portret cara... Czemu go niema?... Czyż się cokolwiek zmieniło?

— Mam przyjemność z panem rejonowym Komordo? — spytał z ukłonem Komar.

— Tak. W jakiej sprawie?

— Przysłano mnie z Wilna. Podobno wakuje tu miejsce przodownika w policji.

— Przycisnęło pana dobrze, — cedził Komordo z ironją, — jeżeli doszło aż do przodownika policji. Porucznikiem pan był — a?

— Porucznikiem, — przemierzły spazm zdenerwowania i słabości chwycił go za gardło.

— A teraz chce pan być przodownikiem policji — che, che, che!

Przechylił się na krzesło i trząsł w fałdzistych kortach potężny brzuch.

Komar miał dziką myśl, że przy boku ma rewolwer i w rewolwerze jeden, jedyny ostatni nabój...

Może w ten brzuch?...

— A w policji pan już służył — a?

— Nie, biłem się za Polskę.

— Biłem się za Polskę, — przedrzeźniał Komordo, — a teraz już tego mało. To nie z bagnetem leżeć, rekwirować kury i siano i, uganiać się za dziewczętami, to trzymać porządek!

— Nie robiłem na wojnie tego, co pan mówi, — Komar poczerwieniał i krew ciężko zatętniła mu w skroniach, — może tak było w armji rosyjskiej.

— W armji rosyjskiej! W armji rosyjskiej było wszystkiego wbród — tam i rekwirować nie było poco! A mnie tych patryjotycznych, „kulturalnych“ poruczników armji polskiej nie trzeba! „Trzymaj ich pan za mordę, ale tak żeby nie czuli!“ — mówił mi komendant, stawiając na miejsce. A pan wiesz, kogo trzymać za mordę — a?

— No, chłopów zbolszewizowanych, Żydów, tajne organizacje anty-państwowe...

— To to i nie utrafił... Choć taki kulturalny, a nie utrafił... Mniejszości narodowe głaśkać trzeba. Trze-



ba, żeby tutejsi zrozumieli, że to ich kraj, że oni pierwsi przed rządem...

— To kogóż trzymać za mordę?

— Panów polskich, szlachtę, — parsknął śmiechem Komordo, — polityka rządu — ochraniać przed żywiołem polskim mniejszości...

— Nie słyszałem o takiej polityce w Warszawie.

— Nie słyszał pan! Dlatego wynalazł ja innego kandydata. — Iwanie Osipowiczu, — zwrócił się po rosyjsku do wchodzącego blondynka, mającego jakby wieczny katar, przesłuchajcie tych złodziei, co las rządowy kradli, macie papiery, a pamiętajcie, zabierzcie się do nich po naszymu, po carsku!

Blondynek zwrócił się ku drzwiom i wtedy Komar poznał w nim Jana Kusztejkę, który wraz z nim antyszambrował w którymś tam urzędzie w Wilnie.

— Jaktó? Pan Kusztejkó? Ależ on zaledwie umie po polsku!

— I nie bił się za Ojczyznę! — grubo rozśmiał się rejonowy, — to i cóż! My tu nie będziemy zakładać bractw św. Stanisława zamiast bractw św. Zofiji! Za to on będzie wiedział, kogo tu na kresach trzeba trzymać za mordę!

Przechylił się w krześle i trzął w fałdzistych kortach potężny brzuch.

— Jeżeli takich biorą, zamiast nas, Polaków i wojskowych; to cóż nam pozostaje? — głośno pomyślał Komar.

Wielki brzuch trzął się obrzydłe. Składał się chyba z ślimakowatego śluzu — och — spłaszczyc go, zatrzymać tę drobną drżaczkę cielska...

— Cóż wam pozostaje? Zostań pan bandyta... — wydygotał ze siebie ruchomy brzuch.

Straszne, ośleple myśli dźwigały się w zdemobilizowanym poruczniku, dźwigały się, jak dinozaury z milowych grzęzawisk...

— Jeżeli zostanę bandyta, idąc za radą pańska,

rzekł wreszcie, — nie omieszkać złożyć panu wizyty w kancelarji.

— Ale pan wybacz, że go nie zrewizytuję w lesie, prychnął ostatni raz rejonowy.

Komar wyszedł, nie salutując. Przed kancelarją poczuł, że nie ma dokąd iść, że jest głodny. Ręce i nogi mu się trzęsły ze zdenerwowania, gardło ścisnęło mu płacz. Bezrobocie, jak choroba, ogarniało go gorączką i mrozem, łamało kości i otwierało w głowie pustkę grobową.

— Pójdę do komendanta policji, — pomyślał.

\* \* \*

Na ulicy powiatowej mięsciny obejrzał się kto-byby mógł mu siedzibę komendanta pokazać. Podsunął się człowiek w krótkim kozuszkę i czapce rosyjskiej, jakie dotąd noszą chłopci białoruscy.

— Pan czego szuka?

— Do komendanta.

— Ot tutaj, dwa domy, ja zaprowadzę.

Biegające oczy wystrzeliły ku niemu, otwartością. Wszczepiły się w niego, zielone i niesamowite i ciągnęły...

— Czego ten człowiek chce odemnie? — przebiegło przez myśl Komara.

Wszedł do pana Komendanta, który był bardzo wielki i bardzo kwaśny.

— Cóż, panu się to wydaje dziwnem, że nad pana przełożono kogoś z mniejszości narodowych, ale tu panuje uprzedzenie do wojskowych polskich.

— Uprzedzenie do wojskowych polskich — w Polsce?

— Ach, panie poruczniku, — skrzywił się komendant z niesmakiem, — nie bierzmy tego zbyt dosłownie... Musimy się liczyć z mniejszościami narodowymi... My tu dopiero budujemy Polskę.



— A cóż w takim razie mam robić ja, wojskowy polski? Umrzeć z głodu?

I w nagłym opadnięciu wszystkich sił wyszeptał:

— Ja już dawno jestem głodny.

Komendanta twarz stawała się wciąż niestrawniejsza.

— Tak zawsze się kończy... Buńczuczy się to, o Polsce gada, a potem... o parę marek...

— Człowieku, więc daj mi pracę! Cóż mam robić?

— To nie moja rzecz, — komendant rozdrażniał się coraz bardziej, — powieś się pan! — wybuchnął.

I odwrócił się do okna, pokazując mu plecy w dobrze skrojonym mundurze.

Komar wyszedł, myśląc, że istotnie ten ostatni nabój... ten ostatni...

Człowiek w kożuszku czekał na niego. Tak, najwidoczniej czatował i potrzebował go...

Ktoś pod tem pustem niebem, na tym bezmiłnym, odpychającym okręgu świata potrzebował go...

Zielone oczy otworzyły się, jak sadzawki bezdenne. Nęciły. Wołały.

— Proszę pana, — usłyszał półgłos wśród swego ciężkiego odrętwienia.

— Przystanął.

— Pan nie ma zajęcia?

— Nie mam, — nogi uginały się pod Komarem.

— Może pan przystanie do nas, my handel nad granicą prowadzimy.

Porucznik uderzył go oczami, nagle krzepnąc.

— Nielegalny?

Nieznajomy zaśmiał się.

— To się wie. Ale pan wojskowych, dawnych kolegów ma... Panby ułatwił... Można zarobić grubą grosz...

— Zarobić grubą grosz, a potem wycofać się, i pokazać im wszystkim, i tam w Wilnie, i w Krzywiczach...

Zdeptanego, obitego ciosami nieczułości ludzkiej pochłonęło to marzenie...

Zielone oczy nieznajomego ciągnęły, jak spleśniałe sadzawki w głębi mateczników... Magnetycznie omotały go. Nęciły.

Poszedł.

## V.

Józia Kuleszanka szła szybkim krokiem z miasteczka do Słobody. Podwieźli ją kawałek drogi, a ze Słobody spodziewała się dostać furmankę do pani Zastrożny, dalekiej swej krewnej.

Szła w swym zniszczonym kostjumie brązowym i zdeptanych półbucikach. Wiatr szerokich pól, chłodniejszy w porze zachodu, owiewał jej szczupłe ramiona. Kaszłała i otulała się wełnianym szalem.

Droga wiła się, jak rozrzucony postaw szarego płótna, wśród wzgórz zielonych. Zdawało się, że te wzgórza to hełmy poległych olbrzymów z pióropuszymi białokorych brzózek.

Na jednym z nagich wzgórz przystanąła Józia na chwilę. Wpatrzyła się w słońce zachodu. Płomienna tarcza, cała widząca, jak oko, mówiła o czemś porywającym. O czemś nieznanem. O czemś olbrzymiem.

Stała linją ciemną na wzgórzu, na tle bladego błękitu, a szal rozwiewał się i zawijał dokoła śmigłej postaci.

Na odległym wzgórzu po drugiej stronie drogi stał mężczyzna. Stał stępały, uposagowany na tle czerwieni, rozlewającej się, jak gnuśna krew zamordowanych. Prostopadłą linją sterczała nad jego głową lufa karabinu.

Józia ujrzała, jak zbiegł ze wzgórze i szybkimi skokami sadził ku niej. Był młody i ładny, w ubraniu myśliwskim, w drogich butach. Wiała od niego wytworność, dziwna na tem odludziu, a zarazem pewność siebie imponująca, jaką daje władza.

Patrzyła na niego z bijącym sercem, które ścisnęło się aż do bólu...



— Znajomy, wysniony w godzinach tęsknot... —  
plątało się jej bezładnie po głowie.

Złękła się w pewnej chwili, że stąpiwszy na drogę,  
pójdzie nią dalej. Ale on dwoma krokami przesadził  
drogę i szedł po zieleni ku niej.

Wiatr rozwał jej szal i owinał nim nieruchomą  
postać, uwydatniając linje bioder.

Nieznamy stał przed nią. Zatopił w niej bada-  
wece, szare oczy. Powoli sięgnął do czapeczki.

— Pozwoli pani zapytać, dokąd tak wędruje pani  
sama? Tu w okolicy niebezpiecznie.

— Nie boję się, idę tylko do Słobody. Podwieźli  
mnie do Debetówki, nie znalazłam koni, a w Słobodzie  
będą napewno.

— Jaka pani nieostrożna! Właśnie teraz tu  
w okolicy są bandyci. Teraz nie te czasy, żeby młode  
panienki mogły chodzić po drogach.

Józia się zaśmiała.

— I nie tak się chodziło! Ja się nie boję!

— Taka pani odważna! Ale zapewniam panią, że  
teraz tu niebezpiecznie. Pozwoli pani odprowadzić się  
do Słobody. Jestem Jan Rosieński.

Podawała mu rękę:

— Józefa Kulesza.

Ujął jej rękę i sprowadził ze wzgórze. Obejrzał się  
dokoła i parę razy zagwizdał.

Odpowiedziało gdzieś blisko, z pod krzaka, ciche sy-  
gnałowe gwizdanie.

Józia się przestraszyła.

— Co to? — zapytała, cofając się o parę kroków  
od swego towarzysza.

— Niech się pani nie boi. To moi ludzie. Urzą-  
dzam polowanie na wilki. Namnożyło się ich bez miary.

— Pan tu mieszka w okolicy?

— Nie, przyjezdny jestem. Zaprosił mnie przyja-  
ciel, żebym mu trochę wilki przetrzebił.

Józia popatrzyła na niego. Gdybyż chwycić za  
nitkę łączności i nie stracić go wśród zamętu świata.

— Pewnie to w Wypoleniętach u Raczkowskiego?

Myśliwy spochmurniał.

— Nie, trochę bliżej, — rzekł z wyraźną niechęcią.

Józia umilkła z przykrością. Po chwili zaczęła  
kaszlać.

— Pani się przeziębiła, — rzekł myśliwy tro-  
skliwie.

— Nie, ja zawsze troszkę kaszlę. Od bolszewic-  
kich czasów.

— A co pani wtedy robiła?

— Chodziłam przez front. Mogę to panu powie-  
dzieć, bo z ruchów widzę, że pan jest byłym wojsko-  
wym.

— Tak, byłem w wojsku.

— A w jakiej randze?

— Porucznika. Ale wszystko jedno, komenderowa-  
łem całym baonem, jak nam kapitana zabili. I nie się  
pani nie stało, jak pani chodziła przez front?

— Tak znowu nic to nie. Złapali mnie bolszewicy.

— I pani żyje?

— Jak pan widzi.

— To proszę opowiedzieć — dzielna z pani nie-  
wiasta.

— To niech pan słucha. Miałam polecenia ze szta-  
bu, ale dopiero aż w Wilnie — zbadać stosunki litew-  
sko-bolszewickie. Nasi się cofali. W Morelach, na Pod-  
lasiu wysiadłam z transportu wojskowego. Pojechałam  
furmanką z porucznikiem jakimś do Sarnak. Tam  
przebrałam się za chłopkę. Przeszłam front pod ku-  
lami.

— Nie bała się pani?

— Nie, kul się nie boję. Przeszłam Bug i w Sie-  
miatyczach tak się rozzuchwalałam powodzeniem, że  
poszłam sama po przepustkę do Rewkomu. Tu mnie zła-  
pali.



— I co?

— Powieźli na rozstrzelanie, ale przedtem na indagację do sztabu 16 armji. Może pan sobie wyobrazić... Torturowaliby mnie... Ale ja uciekłam!

— Dzięki Bogu, przynajmniej mam przyjemność teraz rozmawiać z panią.

— Uciekłam w nocy, kiedy straż zasnęła przy drzwiach stodoły, w której nas umieścili. Tułałam się w lasach przez dwa tygodnie, aż wróciłam do swoich.

Myśliwy słuchał w milczeniu. Głęboki smutek malował się na jego twarzy.

— A ja nie jestem już taki czysty i ofiarny, jak pani, — rzekł cicho.

— Dlaczego? Przecież i teraz jest dużo do robienia w Polsce.

— Nie dają robić. Wyszczuli mnie zewsząd, nie dali żadnej pracy dla państwa. Musiałem się zająć taką wstrętną rzeczą — paskiem pogranicznym.

— I to panu idzie?

— Idzie świetnie. Zrobiłem w krótkim czasie ogromny majątek.

— Ale nie czuje się pan w tem dobrze?

— Nie czuję się dobrze. Niech pani powie szczerze: czy robię na pani wrażenie złego człowieka?

Józia popatrzyła głęboko, z sympatją.

— Złego — nie, ale bardzo smutnego. Dlaczego pan jest smutny?

— Zajęcie ohydne, do samego siebie wstręt człowiek czuje — myślałem, że wytrzymam, ale nie, nie mogę. Czasem się zapominam w wirze interesów i przygód, potem — przyjdzie taka chwila, że wytrzymać nie mogę.

— To proszę już rzucić to zajęcie.

Spuścił głowę nisko.

— Jeżeli pani radzi — rzucę. Ale jeszcze chcę zaokrąglić fortunę — wtedy będę mógł żyć, jak należy. Teraz muszę przestawać z taką hołotą.

Józia zakaszłała.

— Trzeba się leczyć na ten kaszel — zauważył jej towarzysz.

— Przeziębiam się w lasach. Doktorzy kazali wyjechać do Zakopanego, ale gdzież to nawet myśleć o tem!

Poprawił jej szal na ramionach, wziął pod rękę, nie pytając, i poprowadził. Tak władnie, a tak prosto, jakby tak należało, jakby tak zawsze chodzili...

Wiatr powiał nad nimi smugą gorącej, młodej tęsknoty...

Ukazały się pierwsze chaty Słobody...

Myśliwy przystanął.

— To jak się nazywa folwark, do którego pani zdąży?

— Dubowo pani Zastrożny.

— Będę polował tam w okolicy. Może na przechadze spotkam panią.

— To proszę do nas wstąpić, ciotka rada będzie.

— Niech pani nie wspomina nawet o mnie. Nasze rodziny miały proces i zatargi — pani Zastrożna nie byłaby rada mojej wizycie.

— Szkoda!

— Ja i tak muszę panią zobaczyć. Muszę odechnąć na nowo atmosferą ideową, może znowu wrócić tam, skąd wyszedłem... Pani nie odmówi opieki duszy paskarza?... Pani będzie tą nicią, która mnie połączy z lepszym światem...

— Jeżeli tylko mogę pomódz duszy pana rada i przyjaźnią...

— Dziękuję, — głos myśliwego załamał się, jakby mu zbrakło oddechu, — a teraz — dam pani dwóch ludzi, znajdą pani furmankę, i odprowadzą na miejsce. Tu w okolicy rzeczywiście jest niebezpiecznie.

Zagwizdał. Z krzaków opodal wychylił się człowiek z karabinem. Dał mu ciche rozkazy.

Potem skłonił się głęboko przed Józją i odszedł.



Ognisko na polance krwawiło, jak głęboka, jęcząca się rana, zadana w pierś lasu.

Gromada ludzi w krótkich kozuszkach, z rewolwerami u pasa, siedziała dokoła. Karabiny odłożone błyszcząły obok nich lufami, gdy ognisko rozjarzyło się mocniej.

Rozmawiano niegłośno. Wielki blaszany imbryk stał na ogniu. Rozdzielane zapasy krążyły z rąk do rąk wraz z wódką.

Koncert mlaskania i łapczywego bulgotania plynu w gardle budził już od paru minut gwałtowny napad wstrętu w człowieku w stroju myśliwego, który siedział przy ogniu. Powstał, biorąc w rękę karabin i odszedł. Oparł się opodal o dwie stare brzozy zrosnięte.

Las rozpostarł nad nim gałęzie, jak ręce ochronne. Czuł niezliczone tłumy drzew-przyjaciół, z zadumanem głów kiwaniem nucące cichą pieśń... Mocny powiew wzbierał chwilami, napadał na ognisko, chcąc zagaścić i zdmuchiwał z czoła samotnika żar i ból...

Podszedł do niego człowiek o oczach zielonych i wciągających, jak sadzawki w głębi maceznika. Uderzył go po ramieniu:

— Co się zamysłasz, atamanie? Znowu Komara mucha ukąsiła?

— Odstań, Hadziuk, — rzekł Komar, — trzebaż mnie trochę od tej bandy rzezimieszków odpocząć.

— A ty, Komar, chcesz iść z nami, to swoje pańskie, szlacheckie, jaśniewielmożne nawyczki wyrzuc do czortowej matieri. Widzisz go — bandycie banda śmierdzi!

— Ja jej tego w oczy nie mówię. Idź ty do stu milionów djabłów, Hadziuk, bo pokażę, kto tu ataman! W jego silnym, piersiowym głosie ozwał się poryk

burzy. Hadziuk skurczył się, zwinął w sobie, jak wąż i ostrożnie, jak wąż, znów podpełzał.

— Toż ja tylko po rozkaz dzienny przyszedł. Gdzie najbliższa robota? Nim pośpią się, trzeba im ogłosić.

Komar odparł obojętnie:

— W tej okolicy nie będzie wcale roboty.

— Jakto? W Bołotnem, koło Dubowa, swoi ludzie są, wszystko gotowe. Cała ludność czeka, żeby rządę w Bołotnem, Kolasińskiego, sprzątnąć. Obiecują nam pomoc. Powiadają: — Ataman lud żaluje, bogatych gnębi, niech przyjdzie sprawiedliwość uczynić.

— A cóż im ten Kolasiński?

— W tajnej policji służy, deztererów pomaga łapać.

— No, to co! Niech tchórze idą pod karabin! Trochę ich odewsą i nauczą czytać i pisać.

— Ale po polsku!

— Ja też umiem po polsku! *Mnie to nie przeszkadza.* Żyda ani Moskala ze mnie nie zrobisz.

Patrzył z góry i z pogardą na Hadziuka.

— Ale on źle dzieli, jak oddaje poletki na spaszke\*), za las sadzi do więzienia, żadnej szkody nie daruje. Las wyrabany trzy razy drożej ocenia, niż wart. Biednej Alonie z Makarycz krowę zabrał za długi.

— Łżesz ty, Hadziuk, i łże twoja Alona. Czy ja ciebie nie znam? Człowiek oddany państwu polskiemu — to już tobie solą w oku.

— Jej Bohu, ludność go nienawidzi.

— Ktoby wierzył tym spasionym złodziejom! Kraść im nie dają — to nie jest krzywda.

— Jak tak pójdzie, stracimy popularność wśród ludności. Ludność nas ukrywa teraz i pomaga. A zabicie rządcy, który jest pieskiem policji, dałoby nam zna-

\*) Spaszka — jednoroczna dzierżawa gruntu, płacona umówioną częścią zbioru



czenie u bolszewików. Musimy zrobić jakiś akt polityczny. Bez tego przestaną nam dawać schronienie na swem terytorjum.

Komar patrzył w próżnię.

— Nam i w lasach dobrze.

— Komisarz Perelman przysyłał do mnie znowu, kiedy chodziłem nad granicę. Zróbcie akt polityczny, mówią, dawał duże pieniądze.

Komar oparł karabin o pień i mocne swe ręce położył na ramionach Hadziuka, aż ten się ugiął.

— Nie będzie aktów politycznych — zrozumiał? Co innego robić sprawiedliwość społeczną, odbierać nieprawie zyski bogaczom i paskarzom — brać sobie samemu tę część, której mi nie dali — co innego — szkodzić Polsce. Ty, Judaszu, chcesz robić politykę, to idź do Łastowskiego do Kowna, idź, psia krew, do bolszewików, co na jedno wyjdzie. Mój bandytyzm nie jest polityczny — i nie będzie! Won!

Hadziuk pocierał sobie ramię.

— To może w Łoźnikach się pobawić — rzekł, już na dystans.

— Dokoła Dubowa będzie eicho, — rzekł Komar głosem tak bezapelacyjnym, że Hadziuk umilkł.

Chytrze i drwiąco zatańczyły tylko jego oczy skośne i zielone.

Komar oparł się znowu o karabin i marzył. Las szumiał...

\* \* \*

Zahukał puszczyk i w blasku ogniska ukazało się dwóch ludzi, prowadzących trzeciego.

— Gdzie ataman? — pytali.

Wlekli między sobą chałaciarza, który trząsał się i powtarzał po cichu:

— Oj wej mir!

Komar stanął wysmukły i pański na tle dzikich i rozpasanych gęb swych kudłaczy.

— To Chaim, co oszukał chłopów z Korolewca, panie atamanie, — meldował bandyta.

Podsunięto atamanowi pieniek. Siedział groźny i zadumany, napozór obcy wszystkiemu, wpatrzony w niewiadome, własne sny. Po chwili przypomniał sobie:

— Na ile oszwabiłeś chłopów?

— Nu, co ja miał oszwabiać, ja wcale nie oszwabiał, pan ataman szlachcic, to co pan słucha te durne chamy, co one szczekają.

Trzymający go bandyta trzasnął go w ucho, Żyd pochylił się z lamentem, ale dostał z drugiej strony, poczem już jęczał wyprostowany.

— Nie ubliżaj nikomu, zwłaszcza moim towarzyszom — rzekł Komar, — a więc skarga jest jasna: oszukałeś na zbożu na sześćdziesiąt tysięcy. Zwrócisz je gospodarzom, a bandzie dasz drugie tyle.

Hadziuk miękkim skrętem pochylił się ku atamanowi.

— Żydów by nie ruszać, bolszewicy będą źli, a i rzeczy przez nich sprzedawać dobrze.

— Rzeczy sprzedawać będziemy sami w Łotwie.— Mnie wszystko jedno, kto krzywdziciel, czy pan dziedziec, czy Żyd. Więc słuchaj, panie kupiec, — zwrócił się do jeńca — napiszesz list do swoich, żeby pieniądze przysłali. Jak nie będzie pieniędzy...

Skinął na bandytów, a ci przyłożyli mu lufy do skroni.

— Już piszę, — wycharkotał Żyd.

Dali mu kałamarzyk, pióro i papier. Klęcząc, położył papier na kłodzie i trzęsącymi się rękami kreślił litery hebrajskie.

— Nu, może kto przeczyta po naszymu, — zatrzymał się nagle, — niech pan ataman wie, co ja piszę.

Ataman gwizdnał tylko, wpatrzony w grę twarzy handlarza.



— Już ty tylko pisz, — ja i tak zrozumieć. —  
powiedział.

— Nu, skąd pan porucznik zrozumie, po żydowsku pan nie może umieć, — odrzekł Żyd i pisał dalej. Nagle Komar cicho powiedział:

— Zdrada!

Żyd rzucił się i gwałtownie zmiął papier.

— Nu, pan ataman mnie przestraszył. Jaka zdrada? Co to znaczy zdrada?

— A to znaczy, żeś ty pisał nie to, co trzeba.

— Pan w mojej głowie nie siedzi, to co pan może wiedzieć?

— Na twojej twarzy wyczytałem! Hadziuk! Rozłożyć go i dać baty! Pójść z nim w dwudziestu ludzi do jego mieszkania, wziąć nie tylko pieniądze, lecz i wszystkie kosztowności.

— Kulka by w łeb, — ozwał się jeden bandyta. Ale Komar potrząsnął głową.

Powleczono szamoczącego się handlarza i po chwili rozległ się z głębi lasu opętany, nikczemny wrzask smaganego.

Ataman siedział przed ogniem, groźny i zadumany, obcy wszystkiemu, wpatrzony we własne najtajniejsze sny.

— Widzisz go, jaki czarownik, on myśli ludzkie czyta! — szeptali bandyci.

— To on wie, co każdy zatrzymał dla siebie i nie dał do podziału!

Jeden z nich, młody blondyn o pomiętej, nieprzyjemnej twarzy, podszedł, trzęsąc się.

— Atamanie!

Komar uderzył w niego oczyma.

— Co? Chcesz się przyznać do tego, coś ukrył? Myślisz, że nie spostrzegłem? Brać się do ciebie nie chciało. Ale innym razem — oćwiczę i wypędzę z bandy na łeb na szyję. Pamiętaj!

— Matkę chorą mam, w chacie bieda, — bełkotał chłop.

— Wiedziałem o tem, dlatego patrzyłem przez palce. Ale prawo równości jest święte. Jedno wam, wielcom, zostało: zgoda między towarzyszami i uczciwość w zbrodni. Innym razem powiedz mnie, że ci bieda, a nie ukrywaj!

Komar patrzył w ogień i majaczył, że to są żołnierze, ci ludzie, którzy go wielbią i ślepo idą za nim. To są żołnierze... Ścigają bolszewika... Idą bić się za Polskę...

Jakże inaczej stanąłby przed czystymi oczami panny Józefy, gdyby to jeszcze wszystko trwało...

Dlaczego wyrzucono go poza nawias społeczeństwa? dlaczego bogaci i moi patrzyli obojętnie i pozwalali mu umierać z głodu?... Dlaczego zdemobilizowano właśnie jego? Nikt nie widział jego zapamiętanego męstwa w głębi lasów, jego harców na międzyfronciu... Nikt nie widział, jakimi ogniami szaleństwa i potęgi umiał rozpalać żołnierzy... Nikt nie pojął tajnych władz jego duszy, powołanej do panowania.

Wszak za wszystkie wypadki, zwyciężki utarczki, szczęśliwe manewry, za wszystkie rany nie dostał nawet krzyża zasługi...

Dokuczliwy, podły wrzask człowieka pod chłostą był nie zniesienia. Komar powstał.

— Dostę, nie mogę wytrzymać tego psiego skomlenia... — rzekł chmurnie i odszedł w głąb lasu.

Jeden z bandytów dał nura w gąszcz i wrzask ustał.

Komar szedł ścieżyną wśród mokrych drzew. Odychał rosą. Przez gałęzie śmiały się do niego wysokie gwiazdy.

— Zobaczę ją, porwę, obsypię bogactwami, — marzył ze szczęściem i bólem.

Opodał od ogniska Hadziuk szeptał z człowiekiem



w baraniej czapie, którego niedawno przepuścili warty na wymienione hasło.

— Ty Perelmanowi powiedz — jego lud... uch, jak lubi, ludzie za nim w ogień... Śmiała sztuka, gest ma, urodzony dowódca... Nie można go sprzątnąć. On-by sam podniósł powstanie na całe województwo, ale cóż?... nie chce!...

— Dlaczego? my jemu pomoc i karabiny maszynowe pošlemy. Pieniądzy, ile chce.

— Nie chce. Będzie rabował Polaków — a Polski ruszyć nie da. Polska w nim dusza.

— Jakaż tam u bandyty może być dusza, — zaśmiał się człowiek w czapce.

— Ot-że, jest.

Zwinął pięść.

— Ale ja w nim wytracę tę polską duszę. Pierwej czy później, jego rękami wsadzę nóż w serce Polski, pod jej żebra, których my przez tyle wieków nie złamali!...

— A jeśli się nie uda? To co z nim?

Hadziuk przesunął rękę po gardle.

\* \* \*

O świcie placówki przybiegły zdyszane, wynurzyły się z zarośli bez ostrożności, z tupotem, łamiąc krzaki.

— Chaim policję naprowadza. Chłopi z Korolewca dali znać.

Wśród ogólnego zamętu i strachu, ozwał się drwiący głos Komara:

— Jakże on naprowadził? Toż jemu chyba chodzić trudno!

Wszyscy się roześmieli.

— Kuleje, psia jego mać, a taki prowadzi. My go zostawili w domu i kazali nie ruszać się — a on tak prędko zdążył.

Komar skupił krótkimi rozkazami bandę i pchnął ją w głąb lasu.

Kilku zostało koło niego.

— Kto teraz zastrzeli Chaima? Ty, Hadziuk, — przymrużył oczy ironicznie, — zanadto Żydów kochasz.

— Nie takich, co na nas naprowadzają policję polską, — mruknął Hadziuk, — ale oni już za blisko. Inni patrzyli w ziemię.

— Och, wy, wojsko białoruskie, — rzekł Komar z pogardą, — pamiętajcie, zbiórka w czurłońskim lesie.

Zabrał trzy karabiny i parę ładownic i został sam. Towarzysze jego zniknęli w gąszczy.

Wtedy wdrapał się na wysoki klon i rozłożył wygodnie karabiny. Obejrzał się i nabił.

Drzewo stało już prawie na skraju lasu.

Widział stąd doskonale otwarte ściernisko, obrzeżone taśmą zarośli. W tych zaroślach poruszyły się gałęzie. Szli.

Mieli tylko małą kilkusetmetrową przestrzeń do przebycia po ściernisku, między zaroślami i lasem. Wynurzyli się dwaj policjanci w mundurach. Między nimi szedł handlarz. Kulał, a twarz jego wykrzywna była nienawiścią i strachem.

Komar przypatrzył się twarzom policjantów. Wśród mieszczaniny antropologicznej na kresach nauczył się doskonale odróżniać typy.

— Przodownik jest „tutejszy“, Białorusin, nie z Wielkopolski lub Kongresówki. Znaczy: mało wart. Można ryzykować.

Wycelował starannie w środek przekrzywionej twarzy Chaima. Spuścił cyngiel.

Zimna, niebieska dal i czarna ściana lasu odbiły echo. Żyd trzepnął rękami i przewrócił się.

Policjanci cofnęli się pod osłoną zarośli.

Wtedy Komar, siedząc w złotej kopule liści jesien-nych, zaczął strzelać z karabinów po kolei, ale mierząc



wyżej nad wzrost człowieka. Nie chciał zabijać, tylko wywołać złudzenie, że ukrytych jest wielu ludzi.

Gdy zostawało mu już tylko kilka kul, a przeciwnicy wciąż nie opuszczali kryjówek, zsunął się po drzewie w dół, rzucił wystrzelone karabiny w liście, by po nie powrócić i zaczął uchodzić.

W kilka minut po ustaniu strzałów usłyszał zdaleka pościg.

Bieg teraz szybko, jak jeleni, ścigany przez stępe ogarów. Przypominał sobie odbyte kiedyś w obozie zawody szybkobiegaczy... Był pierwszy...

Zagłębiał się w sobie tylko znane komysze. Przeskakiwał przez wykręty, zagrządzające mu drogę, jak ogromne pajaki o rozstawionych nogach. Odgarniał gałęzie rękami, kłując je sobie o igły sosnowe i kolce jeżyn, byle nie dać sobie poszarpać ubrania. Chciał zachować wygląd świeży i elegancki.

Kula gwizdnęła nad nim, potem druga... Zmienił kierunek ucieczki i wkrótce już nikogo nie słyszał za sobą.

Wyszedł z lasu i poszedł już spokojniej po łące, kierując się na drogę, gdzie stał nieruchomo chłop w sukmanie i spłowiałej czapce. Ujrawszy go, chłop poszedł ku niemu, zdaleka kłaniając się nisko.

— Pan ataman będziesz?

— Tak.

— Wasi ludzie mnie postawili. W Makaryczach policja, schowana, oni las otoczyli, wszystkie drogi zajęli w stronę Krzywicz.

Komar zastanowił się.

— Powiedz policji, jak spotkasz, że poszedłem na Krzywicze, odwracaj od Bołotnego. Zrozumiał?

— Zrozumiał, panoczku.

— A za fatygę masz.

Cisnął mu garść banknotów, które chłop złapał i rzucił się do ręki Komara.

— Bandytę w rękę całujesz. a swego pana, który

ciebie leczył, uczył i jest lepszy odemnie i od ciebie pewniebyś zarżnął, — rzekł Komar z obrzydzeniem.

— Im tak i trzeba, panom. Ziemię niech nam oddadzą, jak obiecali bolszewicy.

— Żebyście ją zapaskudzili?

— Co mamy paskudzić, orać będziemy.

Komar odwrócił się i zaczął iść. Zatrzymał go błagalny półgłos:

— Panoczku, a kiedy rządzą Kolasińskiego nam ubijecie? Lasu nie daje, ziemi na spaskę nie daje, zdemobilizowanymi żołnierzami sam orze, dezerterów łapać pomaga... wilk nie człowiek!...

— Zdemobilizowanymi żołnierzami, powiadasz, orze? O, to sobaka! I pewnie robią trzy razy prędzej od tutejszych i mniej biorą? Ułuc go!

— Tak kiedyż, panoczku?

— Pomyśli się, przecie nie w tej chwili, kiedy mamy policję na piętach.

Odszedł wielkimi krokami, chory na pogardę, cierpiący na straszne rozdwojenie, które, jak klin, rozłupało mu serce. Znikła radość sportowa ze zmylonego pościgu.

Ale wynurzyła się mu w pamięci śliczna twarzyczka panny Józefy. Czy przejrzy go, czy nie pozna, że jeszcze dziś zastrzelił człowieka? Uspakajał siebie, że to przecie to samo, co na wojnie. Ale potężny głos kultury krzyczał, że nie to samo. Bo była to jednak walka, walka w dzikim ostępie na śmierć i na życie. Gdyby trafił w ich ręce, znalazłby się zawsze jakiś pogrobowiec policji rosyjskiej, jakiś Komordo (przypominał go sobie z całą wyrazistością śmiertelnej nienawiści), któryby go kazał wyłuskać z ubrania brudnymi łapami zbirów, chlostać jego nagie, młode ciało, przypalać i wykręcać członki, zabijając w nim dumę chamskiem prześmiewaniem i upokarzającymi torturami...

Wzdrygnął się całą odrazą zdrowego organizmu, który nie chce cierpieć, który nie przyjmuje gwałtu



z zewnątrz, najokrutniejszej z zadawanych przez ludzi boleści...

Położył dłoń na rewolwerze i uspokoił się.

Szedł teraz prosto do Dubowa. Szedł, jak na skrzydłach... Marzył nieprzytomnie prawie o dotknięciu młodych ust, otwierających się w nieświadomym pragnieniu... Ale... czy mu wolno?

Przyjął go znowu las. Ogromne krzewy kwiecista fioletowego stały, koronkowe i lekkie, wśród traw i paproci. Zaokrąglone kopyły małych świątyniek... Mówiły urodą swoją:

— Jesteśmy niewinne...

Rozesłały się mu pod nogami kwiciste popławy. Nachylił się i zerwał kilka storczyków. Odetchnął ich wonią. Ukryte w trawie, drobne, a pachnące tak silnie, siostry wspaniałych, egzotycznych orchidei... Gdybyż miał w tej chwili naręcze rzadkich, olbrzymich kwiatów, by rzucić je pod drobne nogi w zdeptanych półbucikach... Biedactwo! Jak on ją będzie stroił, jak otoczy wszystkim...

Wkroczył na groblę, obramowaną ciemnymi olchami, pochylonemi nad spleśniałymi rowami, w których pełno było skrzeku i kijanek. Widział zdaleka, między drzewami słomiane poszycia budynków i szczyty olbrzymich topoli. A zdali, na grobli zamajaczyła biała postać...

Poznał... Przeczowała, że przyjdzie o tej chwili, przyjęła jego władny nakaz, posłany w przestrzeń, jak fala radio... Kwiaty wypadły mu z ręki. Zadrżał i postąpił naprzód, jak człowiek pijany.

Józia szła ku niemu. Każdy z jej lekkich kroków odbijał się w jego sercu krzykiem radości. Krew zahuczała w nim, jak burza.

Józia wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją i nie wypuszczając, zaczął całować, przyciskając usta mocno, na wieczność całą.

— Ależ, panie Rosieński, nie jestem mężatką, — cofnęła się Józia, różowa i szczęśliwa.

— Będzie nią pani, — rzekł Komar stanowczo.

— O, kiedyż to? — zaśmiała się.

— Za trzy dni.

— I czyż to żoną mam zostać? — zapytała, już teraz blednąc.

— Moją, oczywiście!

Józia patrzyła na niego bez tchu, oszołomiona.

Komar podszedł blisko. Nozdrza jego rozdymały się, oczy płonęły, jak świetne gwiazdy. Wziął ją w ramiona, jak swoją.

Józia wydarła się z siłą.

— Pan mnie nawet nie zapyta, czy ja chcę. Pan przychodzi zaledwie znany i napastuje kobietę. Pan mi ubliża tą obcesowością.

Wzburzona, zaczęła silnie kaszlać.

— Bardzo kocham, bardzo. Od pierwszego wejścia. Przecie proszę o ślub. Porwę, obsypię bogactwami, wyleczę... Czy ja w złych zamiarach? Już nie będę, aż ukochana sama pozwoli...

Józia oddychała ciężko po ataku kaszlu.

— Chodźmy, — powiedziała, — tu może ktoś nas spotkać. Ciotka rzeczywiście nie chce słyszeć o Rosieńskich, nie chce jej denerwować — i tak na dużo zmartwień. Pójdziemy na moje ulubione miejsce.

Poprowadziła go w las za groblą, leśną ścieżką wśród młodych sosen, które potworzyły niezliczone korytarze i zaciszne pokoje w swym szerokim rozroście. Na skraju lasu stała ogromna, stara sosna z darniową ławeczką dokoła pnia. Usiedli na niej. Przed nimi rozpościerała się ogromna pustka mokrej łąki, porośła karłowatymi krzewami i skąpymi kępkami trawy. Na widnokregu znowu zarysował się las za sinawą szczygą.

Komar czujnie obejrzał się dokoła.

— Las czurłoński przed nami?



— Tak.  
— Tam błoto. Czy przejść można?  
— W upały — można. Teraz też można, ale nogi pan sobie przemoczy.  
— Nie przemoczę w moich butach. Żeby tylko nie było grzęzawiska.

Patrzył na nią z uśmiechem, wykwitającym, jak kwiat na miękkich, bezbronnych linjach ust...

Józia poczuła ból, dźwigający się z dna jej istoty.

— Pan nawet nie zapytał, czy mogę wyjść za mąż.

— Czy jest jaka przeszkoda?

— Jest, i bardzo ważna.

— Jaka?!

— Mój narzeczony, Michał Zastrożny, jest w niewoli bolszewickiej.

Komar zbladł. Zatrzęsły mu się usta. Rzekł głucho:

— Jest daleko, nie mogę go zabić.

— Ale pan naprawdę zdziwił na tem pograniczu bolszewickiem! Któż to zabija! Czyż wówczas przyjąłabym pana za męża?

Komar pochylał nisko głowę.

— Ale czy pani go kocha? To nie może być! Ja czuję, że pani nikogo innego nie kocha. Pani nie może kochać nikogo innego!

— Nie kocham go, — rzekła Józia.

— I gdyby go nie było, poszłaby pani za mąż?

Józia przymknęła oczy i zamyśliła się. Gdy je otworzyła, były pełne łez...

— Pan jest tym jedynym, z moich marzeń, z moich przeczuć... Ale on jest chory, więziony, głodny, nieszczęśliwy... Obiecałam czekać na niego, gdy szedł bić się za Polskę — i będę czekała. Może powróci, może i on się zmienił, może sam zwróci mi słowo... Ale póki jest w niewoli... nie mogę.

— Cóż nam pozostaje?

— Czekać.

— Pani myśli tylko o nim, pani nie myśli o mojej męczarni — może męczarni całych lat.

— Dlaczego męczarni? Można czekać.

— Pani mi powtarza ciągle: czekać! — zawołał Komar z wybuchem, — proszę powiedzieć ogniewi, który las pożera, proszę powiedzieć wichrowi, który wyrwa stuletnie sosny, proszę powiedzieć rozbieganemu tabunowi dzikich koni w stepach — niech czekają!

— Jaki pan gwałtowny, — wyszeptła Józia, — boję się być z panem!

Bandyta opanował się w jednej chwili. Skupił myśl na krótko i patrzył na dziewczynę ponuro, jak na zdobycz.

— A gdybym dla pani przestał być gwałtowny, i gdyby nie było żadnych tam narzeczonych — byłaby pani ze mną szczęśliwa?

— O tak, na takie szczęście warto poczekać.

— Czekać — a tamten przyjedzie, słowa nie zwróci i będzie po wszystkim!

Józia z rezygnacją spuściła głowę.

— Tak, jeżeli słowa nie zwróci, będzie po wszystkim.

Ładne, choć nieprawidłowe rysy Komara zbrzydły. Znikł trzymający je w napięciu wyraz jedynej woli, wykrzywiły je zawziętość i okrucieństwo. Błyskawicami postanowień, które odbijały się w drgnieniach mięśni twarzy, szkicował plan...

— Za dwa tygodnie, na tem samem miejscu, o zachodzie, będzie mnie pani czekała.

— O, to brzmi, jak rozkaz!

— Miłość ma prawo rozkazywać. Przyjdę pożegnać się z panią, a potem wyjadę — daleko. Jeżeli pani nie zmieni decyzji.

— Decyzji nie zmienię.

— Ale pożegnać się pani przyjdzie? Tyle tylko — na lata smutku i beznadziei!...



Józia cicho odpowiedziała:

— Przyjdę...

\* \* \*

Słońce krwawo zachodziło nad czurłońskim lasem.

Samotna sosna stała osobno na skraju lasu. Wyciągała dwa wielkie konary, jak skrzydła samolotu. A niebieskie powietrze tłoczyło je i nie chciało unieść...

Wysmukła postać kobieca stała pod drzewem. Szal jedwabny zwijał się w skrętach dokoła jej postaci i rozwijał się szarym obłokiem w podmuchach wiatru.

Patrzyła na dwa równoległe wyboje na trawach obszernej mokradła. Tą drogą dojechać do wielkiej drogi, a potem ze smutnego zrujnowanego dworu — w świat...

Na drodze ukazał się drobny zarys — powiększał się coraz bardziej. Zobaczyła konnych ludzi. Potem czwórkę, wprzężoną do powozu.

— Któż to być może? — gubiła się w domysłach, — on przyszedłby sam.

— Ale nie — ci ludzie w kozuszkach, to niewątpliwie myśliwi Rosińskiego. I z powozu wyskoczył on właśnie...

— Nie namyśliła się pani? — były jego pierwsze słowa po przywitaniu.

— Nie.

— Szkoda. Tym powozem pojechalibyśmy w świat.

Po chwili milczenia dodał:

— Może przynajmniej przejedzie się pani ze mną trochę. Zawsze będę pamiętał, że w tym powozie na chwilę była pani.

Pragnienie nacisnęło wszystkie sprężyny jej woli. Wsiadła do powozu.

Konie szły stępą, chlupocząc kopytami po mokradle. Dwie koleiny ciągnęły powóz, jak dwie liny, z mokrego obszaru na brzeg... Na brzeg, gdzie spocząć nie wolno.

Słońce krwawo zachodziło nad Czurłońskim lasem.

— Czyż pani może mieszkać ze swymi płucami w takiej mokrej okolicy? Panią trzeba koniecznie wywieźć do Zakopanego, — mówił Komar.

— Już za daleko odjechaliliśmy, wracajmy, — poderwała się Józia.

W tej chwili konie wyszarpnęły powóz z zagłębienia pełnego wody i stanęły na wielkiej drodze. Komar krzyknął:

— W konie!

Czwórka szarpnęła i pomknęła szalonym pędem.

— Teraz dopiero prawdziwa przejażdżka, tam na błocie to było kołysanie się, niczem łódka na jeziorze, teraz dopiero jazda co się zowie!

— Panie Janie, już dość, proszę odwieźć z tamtej strony, od grobli, — prosiła Józia, przerażając się coraz głębiej.

— Pierwszy raz powiedziała mi pani po imieniu. Ale ja każę zawrócić, kiedy pani powie: Janku!

W zapadającym zmierzchu usłyszał:

— Janku!

Zadrzał ze szczęścia. Objął ją gwałtownie.

— Proszę zawracać, już powiedziałam! — błagała Józia.

Komar się śmiał wyzywająco. Konie leciały, jak wiatr. Gdzieś daleko za nimi zostali konni.

— Czyż nie widzisz, ukochana, że już nigdy nie wrócisz? Wbrew tobie samej chcę dać ci szczęście.

Józia szarpnęła się, ale żelazny uścisk unieruchomił ją. Zobaczyła, że jej nie puści, jak nie wypuszcza jastrząb zdobyczy... Wmawiała w siebie, że go nienawidzi, bo odrywa ją od Michała, który jest nieszczęśliwy i cierpi za Polskę... Ale wsłuchiwała się wszystkimi fibrami w jego dotknięcie, w zdrowy dech organizmu, owianego zapachem szerokich pól.

— Pan jest wstrętny, nikczemny, brutalny!... —



mówiła gorączkowo, — pan mnie kocha, jak niedźwiedź, co przyciska, aż zdusi.

— Niech sobie będzie niedźwiedź, — odpowiedział Komar, — a taki nie puszcze.

— Niech pan puści, mnie boli!

Komar rozluźnił uścisk, ale nie puścił.

Józia płakała. Komar w milczeniu położył dużą, szorstką dłoń na jej głowie, oparł ją o swe ramię. Schował jej głowę, ukrył przed światem całym. Było jej w głowę ciepło i przytulnie. Doskonały powóz resorowy kołysał się na wybojach. Usnęła śmiertelnie znużona na ramieniu drapieżnika, jak w gnieździe bezpiecznym.

W pewnej chwili powóz zatrzymał się. Józia ocknęła się pod grubym płaszczem, którym troskliwie otulił ją Komar. Zobaczyła na tle gwieździstego nieba zarys kościołka. Okno plebanji płonęło jaskrawo. Chrypiąc i tracąc głos z emocji zaszczekiwał się pies.

Szereg ludzi z karabinami milcząco wyrósł przed powozem.

— Ludzie, ratujcie mnie, — krzyknęła Józia, — on porwał mnie gwałtem.

— To moi ludzie z obławy, — rzekł cicho Komar, — wszyscy trzymają ze mną. Tu ciebie nikt nie wysłucha.

— Dokąd pan mnie przywiózł?

— Do kościoła. Zaraz będzie ślub.

Józia pomyślała, że może przy ołtarzu powie-  
dzieć: nie! Nawet, gdyby ją gwałtem wprowadzono...

Ciągniona prawie za rękę, marzyła, jakiby to było szczęście, gdyby wszystko odbyło się inaczej...

Oprowadzono ją dokoła domu przez jakiś ganek. Milczący ludzie przed wejściem odstąpili, wpuszczając ich do środka. Weszli do skromnego pokoju. Za nimi wniesiono walizy.

Komar posadził Józję na krześle. Wniesiono sa-

moszar, jakiś człowiek cicho i zrećźnie zastawił stół wytwornemi przekąskami i cukrami.

Zgodziła się wypić trochę herbaty. Tymczasem Komar wyjął z walizy białą suknię, białe pantofelki, drogi płaszcz futrzany.

— Nie mamy czasu, możemy tu zabawić najdłu-  
żej pół-godziny, śpieszymy się na stację warszawską.

— Po co?

— Wywożę panią do ślubie zaraz do Zakopanego.

— Ale ja nie chcę! Ja nie zniosę gwałtu! Tam się zabiję — słyszy pan!

— Słysz, — odrzekł, obojętnie prostując faldy kosztownej sukni, — proszę się zaraz ubrać, jeżeli pani nie chce, abym sam panią ubrał z moim naga-  
niaczem.

— Pana stać i na to, — powiedziała Józia, drżąc z oburzenia.

— Właśnie. Stać na to. Więc za dziesięć minut. Oto kładę zegareczek — to prezent ślubny.

Józia zaczęła się szybko ubierać. Za ścianą usły-  
szała roznowę:

— Więc oto dyspensa, — proszę księdza, jeżdżi-  
łem po nią aż do Wilna.

— Czemu pan przyjechał tak późno? Ludzie pa-  
na powiedzieli mi, że o szóstej — organista już spać  
poszedł.

— Nie można było, narzeczona zasłabła w dro-  
dze. Teraz jeszcze do gruźlicy przyplątały się jakieś  
ataki nerwowe — chwilami mnie nie poznaje, mówi  
od rzeczy.

— I nie boisz się pan żenić z taką panienką?

— Inaczej nie mógłbym się nią opiekować. Wy-  
wożę ją do sanatorium. Z powrotem wstąpimy tu  
księdza odwiedzić, nie pozna ksiądz mojej biedaczki.

Rozumiała teraz, że zakochany gwałtownik z tak  
przedziwną przebiegłością oplątał ją, że się nie wydo-  
będzie z tej sieci. Ale z im silniejszą rozkoszą wspomi-



nała chwile szalonej jazdy przy jego boku, gdy w uszach świstał wiatr, a potężne ramiona wiewiały ją i nie puszczały, tem bardziej rozdmuchiwała gorycz, oburzenie, bunt przeciwko złamaniu jej woli.

Zapukano do drzwi. Komar wszedł i przykląkł, wyciągając ręce:

— O jakżeś piękna w twojej szacie białej!

— Pan jest głęboko podły, pan zrobił mnie niepoczytalną, żebym nie mogła wydrzeć się ze szponów pana! Słyszałam wszystko.

— Istotnie, jestem podły i zrobiłem to, — odparł, otulając ją płaszczem i narzucając szal na głowę, — idźmy, ksiądz już czeka.

Śmiejąc się ze szczęścia, które szybko podnosiło jego pierś, spojrział nakazująco w jej oczy. Otoczył ją obłok sugestji magnetycznej. Szła, jak senna, ścieżką w ogrodzie, wstąpiła do słabo oświetlonego kościoła. Stała przed ołtarzem. Zdjęto jej płaszcz.

Matka Boska Ostrobramska patrzyła na nią z ołtarza.

— O Matko Boża, — modliła się, stojąc blada i biała w cichem mżeniu świec, — daj, abym nie chciała tej chwili, daj, abym nienawidziła tej chwili!

I jednak ta chwila porywała ją, jak otchłań zawrotna. I pod naciskiem ciężkich, jastrzębich oczu pana młodego, tak niewyraźnie wybelkotała! — nie! — że ksiądz z czystym sumieniem mógł je przyjąć za: tak!

I znów despotyczne ręce gwałciciela ubrały ją w płaszcz, zarzuciły szal na głowę. Widziała, jak ścisnęły ręce wieszających mu naganiaczy.

— Jest pewnie dobry dla służby, — pomyślała, mięknać wewnątrz.

Wyprowadzono ją na powietrze. Znów musiała wsiąść do powozu. Ksiądz stał przy furtce i mówił słowa pożegnania.

Ogarnęła ją trwoga przed tym strasznym czło-

wiekiem, który narzucał jej swą wolę, który może teraz, jeszcze tej nocy...

Krzyknęła dziko, przeciągle:

— Ludzie, ratujcie, on porwał mnie gwałtem!

Ale konie poderwały się z miejsca i uniosły się w noc. Krzyk jej zginął w turkocie i tętnie.

Pan młody owijał jej teraz nogi pledem. Na polach zrywał się wichur.

Potem pochylił się ku niej i mówił do niej słowa miłości i pieszczoty... I słowa te były szalone, jak wichur, który przyleciał z morza litewskiego, z wielkiego jeziora Narocz.

Wjechali w las. Spadły krople deszczu.

— Las płacze nademną, że jestem taka bezbronna i nieszczęśliwa!... — rzekła Józia.

— O, naprawdę? — zdziwił się jej mąż, — przecież jestem przy tobie, żeby cię obronić.

I dodał z mocą:

— Nawet przed samą tobą!

Wjechali na polankę, gdzie przy ognisku pod daszkiem z gałęzi siedzieli ludzie. Otoczyli ich, huźnie wieszając po biańrusku.

— Prędko rozłóżyc namiot, Hadziuk, — rzekł Komar.

Po chwili namiot stanął. Wprowadził do niego Józję. Zapalono tam świece. Na ziemi usłano posłanie, na paru pieńkach rozłożono jedzenie.

— Spoczniej, — rzekł do niej, — i, wkładając jej na rękę bransoletkę ze złotym zegarkiem, wysadzonym brylantami: — a podarunku ślubnego nie należało zapominać w plebanji na stole! Jak będziesz grzeczna — ileż jeszcze podarunków dostaniesz ode mnie!

Józia podniosła na niego oczy bolesne od ciężkiej rozterki:

— Daj mi tylko jeden podarunek! Zwróć mi moje prawo być nieszczęśliwą!



Wicher hulał z wściekłością. Sosny gięły się i jęczały. Chorał rozpetany, coraz głośniejszy, coraz dziksy falował, zbierał, opadał nad ich głowami. Namiot drżał, płótno się chwiało.

— Te drzewa są pijane, — wyszeptła Józia, — oszalały te sosny stuletnie.

Komar zbliżył się do niej, biorąc za rękę.

— Ukochana, tak samo, jak ja... Dostyc było oporu... Przyjdź teraz sama... po dobrej woli...

Józia odskoczyła na drugi koniec namiotu.

— O nie, sama, po dobrej woli — nigdy!

— A więc — gwałtem! — rzekł Komar i nieprawidłowe jego rysy wykrzywiły się gniewem.

Podchodził z płomieniami w oczach... do Józii, białej, jak jej suknia.

\* \* \*

Nazajutrz rano do małej stacyjki podjechał pociąg zaprzężony w czwórkę koni. Wsiadła z niego Józia, już ciemno ubrana i jej mąż. Służący w wielkiej czapie i kożuszkę wyniósł za nimi bagaże. Po chwili podał im bilety pierwszej klasy. Pociąg nadjechał niebawem. Józia wsiadła bez protestu. Była oszołomiona i nie umiałaby dać sobie rady, gdyby została sama bez swego despotycznego opiekuna. Wstydziałaby się zresztą opowiadać.

Pociąg ruszył ku Warszawie. Patrzyła na zagajniki brzozy — na tłumy białych płaczków z rozwianymi włosami. Płakały jej wianka. Pomyślała, że może który z ludzi Komara zechce zaświadczyć, że ślub był wymuszony i wtedy bez hańby i winy wróci do Michała...

Komar powiedział w tej chwili:

— Nie wrócisz nigdy. Wszystko jest najzupełniej formalne. Świadców nie znajdziesz.

Spojrzała z przerażeniem. Dziwną intuicją odgadwał jej myśli.

Wtedy stał się nagle miękki i pieśczośliwy.

— Już teraz będzie moja, już powrotu niema. Dla jej tylko szczęścia wszystko... Żeby wywieźć, wyleczyć... Niech przebaczy, niech się uśmiechnie...

Józia przypomniała sobie huczący wicher i drzewa szumiące, oszalałe, pijane...

Usniechnęła się...

## VII.

W drewnianym baraku w obozie dla jeńców małe szybki były zamrożone. Przeraziły chłód wiał po kątach. Żelazny piecyk ział z czarnej paszczy martwoty.

Michał Zastrożny leżał pod dziurawym szynelem bolszewickim na swej pryczy i trząsł się z zimna. Serce jego męcząco się tłukło i zamierało. Popekane ręce, odmrożone nogi bolały tak, że ledwie powstrzymywał płacz cierpienia i zdenerwowania.

Wmawiał wtedy w siebie z uporem litewskim, odziedziczonym po pokoleniach całych, cichych, milczących ludzi, którzy wrosli korzeniami w ziemię i nie dali się wyrwać, że on musi wrócić do Polski, do Dubowa, otoczyć opieką matkę, zdobyć do końca serce Józii, odbudować gniazdo zburzone...

Ostatni raz widział ziemię ojców, pociętą ogrodzeniami drutów, poranioną lejami po pociskach i cieciami okopów.

— Odrutowali Dubowo, — majaczył, drząc, — odrutowali jezioro Wiszniewskie, i Narocz, i cały kraj... Cały kraj odrutowany... Oddzielony dwór od wsi... Oddzielona zagroda od zagrody... Ja muszę powrócić, pozrywać druty, pozrywać druty...

Jeden z jeńców nachylił się nad nim i trącił w ramię:

— Kapitanie, zafasowałem trochę ciepłej lury z drugiego baraku — proszę pić!

Michał podniósł się trochę i wypił z chęciwością.



— Chcą tu z panem kapitanem dwaj jacyś pogadać, mówią, że z Białorusi.

— A nie bolszewicy? Bo dosyć mam ich namawiania — jak dosyć mam ich tortur.

— Całe szczęście, że pan kapitan ataku serca dostał, jak męczyli, — che, che! Ciągaliby do czerzyczajki i dotąd, — żołnierz ostrożnie dopił resztki ciepłej herbaty.

— A co oni mówią?

— Jeden Litwin, drugi Białorusin. Wczoraj wpuścili ich do obozu. Musi, jeńcy też.

Dwaj ludzie, ciepłej i porządniej od innych ubrani, zbliżyli się do Michała.

— Skąd panowie? — ożywił się chory, przyciskając ręką bolące serce.

— Ja z pod Melengian, — rzekł jeden.

— A ja z pod Dołhinowa, — objaśnił drugi.

Usiedli po obu stronach pryczy.

— Jeńcy? — badał ostrożnie Michał.

Nie odpowiedzieli.

— Ja wiem, że pan chce złączyć Białoruś z Polską, — zaczął Białorusin, — ale o tej sprawie mówili z panem tylko Polacy. Ja teraz, przed miesiącem dopiero uciekłem z Dołhinowa...

Michał zerwał się, zaczerwieniony, nagle szczęśliwy.

— Pan był tam, na naszej ziemi... przed miesiącem jeszcze... o Boże! Widział pan naszych żołnierzy...

— Niestety, nie tylko widział, ale i czuł. Przyszli rekwirować, zbili żonę, zbili mnie... Lud białoruski jęczy, jak nigdy za carskich czasów, podatki bez litości, administracja bierze łapówki, więźniów torturują... Panowie urządzają wyprawy karne. Reformy rolnej niema wcale. Za mówienie po białorusku w miejscach publicznych sadzają do więzienia. Cerkwie zamykają, duchowieństwo prawosławne prześladowają.

Chłopi przeklinają Polskę i wszędzie wólcą się bandy powstańcze...

Michał wyszeptał, otwierając szeroko oczy pełne zgrozy:

— Chłopi... przeklinają... Polskę...

Nagle w tonie jego zabrzmiał rozkaz i sąd:

— A wy, inteligencja litewska i białoruska? Czy pamiętacie nasze tajne zebrania? Czy pamiętacie, jak przysięgaliśmy obalić carat i żyć we wspólnocie braterskiej na wieki? Mówcie, na Boga, gdzie wasze przysięgi?

Litwin z pod Melengian wysyczał zjadliwie:

— My własne państwo mamy, Polacy pierwsi podeptali swoje przysięgi... Na naszej ziemi braterstwo umarło na wieki... chyba, że czaszkami polskich żołnierzy wybrukujemy ulice Wilna...

— Niech pan kapitan nie słucha, to sprzedawczyki bolszewickie. Wiadomo, pies szczeka, — uspokajał żołnierz.

— I pan też jest Białorusin, rdzenny Białorusin, — wmawiał brunet skośnooki, — kiedyś chciał pan żyć dla ludu. Niechże pan posłucha głosu tego ludu. Od granicy Łotewskiej do Rumunji jeden krzyk brzmi na kresach Wschodnich: — Precz z Polską!

Michał wyszeptał:

— I u mnie, w Dubowie?

Białorusin zrobił szeroki gest ręką.

— Wszędzie.

Michał leżał na wznak i oddychał ciężko.

— Odrutowany kraj, niemieckie druty rozdzieliły braci... — mowa jego urwała się i nagle usiadł. Szynel spadł z jego ramion, odsłaniając brudną „gimnastiorkę“. Chwycił się za serce i zwałił się na bok. Żołnierz rzucił się do niego.

— Sobaki, zdrajcy, wont! Panie kapitanie, napełdziłem ich, melduję posłusznie...

Michał gasł w męczarniach, rżąc:



— Józia... Mamo... za Polskę... Pozrywajcie druty... Braty rodnyje... Tikras brolis... Pozrywajcie druty...

— Panie kapitanie, Polska nie zginie, melduje posłusznie, — płakał żołnierz.

Bolszewicy stali opodal.

— Czort pobieri, nie udało się zaagitować. A szkoda... Człowiek wpływowy, idejny... Z takich najlepszy materiał...

Michał zaczął sztywnieć. Żołnierz złożył mu ręce i zamknął oczy. Dokoła cicho skupili się jeńcy. Ci, co spowodowali jego śmierć, wyslizgnęli się z baraku.

Z nozdrzy Michała, nabierających powoli odcieni żółtych, zaczęła się sączyć ciemna krew serca, które pękło w niewoli...

Żołnierz ukląkł, za nim obecni i odmówili „Anioł Pański“.

— Trzeba zabrać rzeczy, może rodzinie odwieziemy, bo przyjdą po trupa i obedną, — ostrzegł jeden z jeńców.

Żołnierz, pociągając nosem, obszukał kieszenie i pościel.

— Niema nic, busola i książeczka, — oznajmił.

Jeden z oficerów wziął do ręki czarny notatnik. Otworzył go. Wypadła z niego kartka.

— Rozkaz dzienny do porucznika Szczęśniaka — odczytał głośno. — Nie przyjmuje raportów o chorobie i przemęczeniu, niema na to czasu, nad Ojczyzną śmierć...

Obecni milczeli.

— To też dostał się do niewoli, bo padł nieprzytomny z przemęczenia, — ozwał się jeden z jeńców.

Do baraku weszli obcy w papachach. Z urąganiem i żartami obdarli trupa z łachmanów i powlekli prawie nagiego, by wrzucić go do niewiadomego dołu, do bezimiennej mogiły bez krzyża...

\* \* \*

A o tej samej godzinie pani Zastrożna stała w oborze, pilnując popołudniowego udoju.

— Nastula, ciągnij lepiej, wymię pełne zostawiasz, — upominała jedną z dziewczek.

Nagle piersi jej ścisnął tak straszliwy niepokój, że nie mogła sobie dać rady. Opuściła oborę i poszła wydeptaną ścieżką w stronę krzyża w alei wjazdowej. Choinki wyciągały ku niej kiście, opruszone śniegiem. Nagie topole między niemi chrzęściały cicho piszczelami gałęzi. Drobną śnieg prószył łagodnie, padał płatkami chłodnej szarpi na rany. Pierś jej rwała niezdolnie, jakby cała ogarnięta była rozjątrzoną, wzbierającym wrzodem. Podeszła do krzyża.

— Dziecko, dziecko, co z dzieckiem, — szeptała.

I usta jej bezwiednie zaczęły odmawiać modlitwy za konających, potem Anioł Pański...

\* \* \*

— Panieczka, — meldował Czurlis, — ten dzierzawca, niechaj jego wilk zje, nie chce nam dawać koni do miasteczka.

— To ja jemu nie dam brony sprężynowej. Tak jemu i powiedz. A orać już za tydzień trzeba.

— Panieczka, on w naszej oborze dachu nie kryje, deszcz, śnieg leci na żywioly, parsiukom nie robi zagródki, wszystkie po podwórzu się rozbiegły, jeszcze wilk zje.

— Skaranie boże z tym Kusztejką! Ktoby myślał — wyglądał na spokojnego człowieka! I z włóścianami sobie daje radę!

Czurlis pokiwał głową.

— Ono to tak, daje! Stary Notik z Kurników mówił, co on chłopom powiada: — Panicz nigdy nie wróci, jego bolszewiki dawno zamęczyli; i tutaj przyjdzie pomoc od bolszewików.



— Myślałam, że on dobry Polak. Przecie uciekł od bolszewików.

— Uciekł nie za politykę, a za kryminał. A jego syn, co w Krzywicach w policji służy, często za front chodzi.

— Do matki pewnie...

— Do matki... Może i do matki... Ale bez bolszewickiej przyjaźni i takby granicy nie przeszedł. Nieczysta sprawa...

Pani Zastrożna nie tyle się przejęła stosunkami Kusztejki z bolszewicką stroną, co nagle zsumowaniem wszystkich krzywd i przykrości, jakich prawie od początku doznawała od swego dzierżawcy. Jak tu wytrzymać całe sześć lat... A umowa była spisana...

Spojrząwszy w okno, przeraziła się. Tuż pod jej oknami Kusztejko stał przy koniach, zaprzęgniętych do pług. Na czarnej, wilgotnej ziemi słało się parę brózd, w których sterczały wywrócone lemieszem zeszłoroczne badyle i korzenie.

Pani Zastrożna śpiesznie włożyła stary kaftan watawany, okręciła głowę chustką i poszła za dom.

— Panie Kusztejko, dlaczego pan orzesz u mnie pod oknami, — zaczęła z pozornym spokojem.

— A gdzie mam orać? — Kusztejko impertynencko wsparł się w boki, nie zdejmując czapki.

— A tam jest poletek jeden, drugi, zarosły młodym brzeźniakiem. Wykarczować można i pan jest zobowiązany kontraktem zasypać rowy, zarosłe poletki wykarczować.

— Kontraktem! Widzisz ją, kontraktem! Na sześć lat ziemia oddana, ja tu teraz samodzierżawny pan! A pani co jesteś? Jedną starą spódnicę masz!

— I z jedną starą spódnicą wyprocesuje ciebie stąd, łotrze! To moja ziemia! Nie przestałam być tutaj panią!

Zawróciła się, żeby iść, ale Kusztejko. karłowaty.

z czerwoną twarzą i okrągłą białą brodą, podobny do złośliwego gнома, przysiadłszy, zaczął podskakiwać, jak wielka żaba, z palcem wyciągniętym, wydrzeźniając:

— Po mojej ziemi chodzisz! Po mojej ziemi chodzisz!

Pani Zastrożna czuła w sobie gniew, zapalczywy, zawzięty, posunięty aż do chęci rękoczynów, który hamowała poczuciem godności. Poszła do domku swego, wzniesionego z opalonych głowni i ocalałych cegieł na zgliszczu.

— Trudno, Czurlis, trzeba będzie prosić pana Kolasińskiego, żeby zabrał z miasteczka naszą pocztę.

Czurlis skrobał się w głowę.

— A najgorzej, że ten czort nie oddaje zboża — za naprawę bryczki trzeba płacić trzy pudy, Wincuk i Nastula bez butów, już w walonkach za mokro, im trzeba ze sześć pudów dać — a ten świren zamknął — nie daje i choć ty z nim rób, co chcesz! *Velmas prokeiktas!* \*)

Pani Zastrożna zauważyła chłodno:

— Bez sądu się nie obejdzie!

Poczem usiadła przy oknie szydelkując sweter z własnej, domowej, burej wełny dla Michasia, jeżeli wróci, a nie wróci — to dla siebie.

Pies zaszczekał. Spojrzała w okno i zobaczyła młodego policjanta.

Kusztejki syn przyszedł, — pomyślała, — może on ojcu do rozumu przemówi — jakiś przyzwoitszy!

Wania Kusztejko wchodził do mieszkania ojca w domku, który zajmowała po powrocie pani Zastrożna, zanim skleciła z ruin swój dworek. Przywitał ojca po rosyjsku:

— Zdrawstwuj, papa!

\*) Djabeł przeklęty!



Ojciec z synem pocałowali się w usta, rosyjskim zwyczajem. Syn usiadł na ławie w kącie chaty. Stary zakrzętnął się koło samowara.

— Mnie odstatwkę dali, — powiedział nagle Wania.

Kuszejko się spłoszył i rura od samowaru potoczyła mu się z rąk na podłogę.

— Za co?

— Komordo mnie pokrywał, ale ten nowy komendant zaraz zmiarkował, że ja nie taki Polak, jak trzeba. Odkryli, że chodziłem do Wilna, do wysłanników belgradzkich, do Litwinów...

— Jezus Marja! I nie zaarrestowali cię?

Wania skrzywił się pogardliwie.

— To tobie nie carska ochrana! Czy oni mają charakter! Im będą gardło podrzynać, a oni będą w tym czasie podpisywać amnestję!

Kuszejko był wściekły.

— Wyrodek ty! Wrócił do swego kraju, Polaka syn i przeciwko Polsce spiskujesz! O naszych przodkach nawet Chodźko pisał...

Wania odpowiedział melancholijnie:

— Tak daczego ja prawosławny, i w Petrogradzie chowany, i daczego ja teraz dopiero o Polsce słyszę, jak ona mocna?

Kuszejko ze złym humorem weisnął rurę na samowar.

— A u ciebie co? — pytał syn.

— Stara, wiedźma żyć nie daje, kontraktem ciśnie. Tam jej nie oraj, teraz jej zboże oddawaj, konie w dni robocze pędzaj! Skaranie boskie! Ale ja babie się nie dam!

Potem przybliżył się, obejrzał dokoła i szeptem zapytał:

— Za frontem byłeś?

— Byłem, — Wania skubał niezdecydowanie wą-

sik, — matka zdrowa. Tańka zawsze z Saszką się włóczy.

— Ziemia?!

— Dwadzieścia dziesięcin zostawili, Saszka wystarzał się. Saszka tak urządził, że mnie można wrócić — będę niby zawiadowcą w sowchozie, a sowchoz zrobią z reszty naszego folwarku i z Mostku Sipajłów.

Kuszejko rozradował się złą radością.

— Te durnie arystokratyczne! Pani Kuszejkowa za niska dla nich, dzieci Kuszejki za niskie dla nich — a teraz ich ziemia u syna Kuszejki!

— Ale za to papa musisz tutaj im coś urządzić...

— Ja — bolszewikom? A niechaj any idut k' czortu!

— Ty ich k' czortu nie posyłaj, a posłuchaj. Jest tutaj w Bołotnem rządca, Kolasiński. Były wojskowy. On władzom polskim pomaga, a taki sprytny, że wszystkich bolszewików w okolicy wyłapuje. Jego z za frontu przyjdą zabić. Trzeba pomoc dać...

Kuszejko postawił na stół samowar, który się już zagołował. Otworzył z klucza zielony kuferek, wydobył w węzełku z szmatki herbatę i zaparzył. Potem usiadł. Czerwona twarz gnoma, okolona siwą brodą, odbijała w pękatym samowarze, rozplaszczona i szeroka.

— Jeżeli oni przyjdą do Bołotnego, — rzekł z zastanowieniem, — to im do Dubowa blisko, ręką podać...

— Tak? — Wania nie rozumiał myśli ojca.

— A gdyby tej starej wiedźmy nie było, nim syna bolszewicy wypuszczą, w gminie łapówkę można dać i ziemia długo przy mnie będzie. Nim urzędy całe rzyzy papieru wypiszą — tu majątek można zrobić...

Wania zrozumiał.

— Dobrze, — rzekł z pośpiechem, — cóż im, do Dubowa blisko. Broń oni dostarczą, tylko ludzi trzeba znaleźć.



Kusztajko uśmiechnął się zjadliwie.

— Ludzie? Bierz, którego chcesz! Wygryzają ją od roku, grożą, grabią, a baba twarda siedzi i siedzi! Ziemia ojców moich, — powiada, — jestem placówka polska, postawiona na kresach. Oniby ją żywcem rozerwali za las, za popławy, za sianożęcie!

Wania nalał sobie herbaty i pijąc w przekąskę, z kawałkiem cukru, dmuchał w spodek. Nagle powstał spodek na stół.

— A wiesz, papa, Rosji ja nie opuszczę, ale byłem między Polakami... Oni kulturniejsi, wyżsi jacyś... Mnie tam wszystko w Bolszewji takim chamstwem się wydało... Nie chce się tam wracać...

— Przyjdiesz jeszcze do Polski, przyjdiesz, — zamruczał Kusztajko, — żonę Polkę weźmiesz, może samą Sipajlankę, teraz w nędzy jest w Wilnie, biedę klepie... Nauczycielka!... A ty ich ziemię weźmiesz, i swoją, a ja będę miał Dubowo! Będziemy bogaci, pokażemy im wszystkim — a wtedy bolszewików do powietrza, sukisynów!

Nagle pod wpływem ciężkiej myśli spuścił głowę.

— Ale to już będzie drugi grzech na sumieniu... Człowieka jednego ja zabił... Nie, stary ja, boję się brać grzech na sumienie...

— A ty się w to nie mieszaj, — uspakajał Wania, — pokaż nam tylko w okolicy pewnych ludzi. Z ludzi Komara...

— Bandytów znaczy... W Słobodzie jest Leszczuk, Notik w Kurnikach... Odgrają się ciągle na Kolaśńskiego. I na dubowską dziedziczkę też.

— Ot i ładno. Teraz ja zawiadowca sowchoza. Ale jak pieniądze zbiorę, przyjadę do Polski żyć.

— Matka nie puści, — rzekł ponuro Kusztajko.

Potem wziął go jeszcze rozmyśl. Zaczął krążyć po izbie, jak zwierzę w klatce, bełkocąc z przerażeniem:

— Bolszewicki jadł my z sobą do Polski przynieśli. Zarażeni my, trędowaci... Kara za odstępstwo

wiary świętej, za zdradę Matki Boskiej Ostrobramskiej, że syn mój na Polskę nóż ostrzy... Wania, nie śmieję, przeklnę!

— Dużo ja sobie z tego robię, — odparł syn z lekceważeniem, — ty i sam niebłogosławiony. Jeżeli ty za chleb zamordowałeś, tak co tu stać, jak wół nad pełnym żłobem, kiedy chodzi o cały majątek!

Ale Kusztajko z płaczem padł przed obrazkiem Matki Boskiej i bił się w piersi.

— Pokutować będę, do Częstochowy pójde piezo, do klasztoru wstąpię, — chlapał.

— Ofiaruj zatem Dubowo i Mostek Bogu, — ironicznie poradził młodszy Kusztajko.

Stary Kusztajko powstał z klęczek.

— Pokutować będę, kiedy już Mostek i Dubowo będą nasze, — oznajmił, nagle uspokojony.

\* \* \*

Pani Zastrożna siedziała w pokoju jadalnym, przylegającym do kuchni. Przebiegała, jak różaniec, jedną po drugiej, ciężkie swoje myśli. Odeszła jej jedyna pociecha, pogodna, ofiarna Józia. Znikła pewnego dnia i po paru dniach śmiertelnego niepokoju przyszedł list, że jej ciężko było odjechać, że nie może wszystkiego opowiedzieć, ale zdradziła Michasia i wyszła zamaż. Zmuszono ją do tego gwałtem, ale czuje się winna, bo teraz jej dobrze. A Michaś mieszka się u bolszewików.

— Bóg z nią, kiedy jej dobrze, — zdecydowała pani Zastrożna, — biedny Michaś, jeszcze i to go czeka, jeżeli wróci!

Chłopi niechętni, dzierżawca systematycznym oglądaniem jej i bydła chcący wyrzucić ją z ziemi... Pani Zastrożna czuła, że jest już bardzo zmęczona...

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich ogromny chłop w kozuchu.



— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — przemówił.

— Na wieki, witajcie, Notik, — odpowiedziała dziedziczka.

Chłop stał, zajmując plecami w kozuchu całe drzwi.

— Ja do panieczki...

— Proszę, wejdźcie.

Podsunała mu krzesło.

— Dziakuj... I postać można...

— Już siadajcie. Teraz my wszyscy równi w Polsce. To już nie moskiewskie czasy.

Bazyli Łuksza, przewiskiem Notik, siedział, sędziwy, z szaremi kłakami brody. Małe oczki świeciły mu życzliwie z pod brwi, jak wiechy.

— Tutaj papiera przyszła, — mówił, — nie możemy my wyczytać, musi podatek płacić, a nie wiemy, jaki.

Pani Zastrożna wytłumaczyła mu treść papieru urzędowego i napisała odpowiednie podanie.

— Dziakuj, panieczka, — rzekł, wyjmując z nazdrza chustkę z jajkami, których pani Zastrożna z wielką stanowczością nie przyjęła.

— Jakże teraz żyjecie? — zapytała.

— Tak i żyjemy. Ziemię z Bołotnego bierzem na spaskę. Niczegoby sobie życie szło... Tylko syn starszy ze złemi ludźmi się płacze. Nie zrobię z nim nic. Teraz dzieci nie słuchają.

— A wy zgodnie we wsi żyjecie?

— A jakie tam zgodnie! Jedni bolszewiki czyste, drugie z Polską chcą. Jedne do cerkwi, drugie do kościoła... Biedny my naród, Białorusy...

Pomilczał i zwierzył się:

— Jak dawniej unja była, przy Polsce, lepiej było. Wszystkie jednej wiary... Przy jednej Matce Boskiej... A teraz — nie daj Boże, jaka niezgoda.

— To wy za caratu o polskich czasach słyszeli?

— Co nie mieli słyszeć, dziad mój gadał: Bogatsi byli ludzie, za Rosji zbiednieli... Choć i pańszczyzna, a bogatsi. Razem się w kościołach modlili. A ta wieś Korolkowiec, w ta pora nazywała się Królewszczyzna. Królewska ziemia znaczy. Tam i teraz ludzie bogate.

Notik pożegnał się i poszedł. Od tego dnia, dowiedziawszy się, że pani za odczytywanie papierów i pisanie podań nic nie bierze, zaczęli się stale zjawiać do niej klienci. Pytali się przytem o stosunki z zagranicą, o sejm. Wkrótce przybyła pani Zastrożnie nowa klientela: dzieci szkolne, umiejące już czytać, przychodzące po książki.

Ale pięści chłopów i nadal zaciskały się, gdy patrzyli na Dubowo. Uważali je za swoją własność.

## VIII.

Konie zajechały przed gmach sanatorjum. Józia wysiadła, oparta o ramię męża i spojrzała na sylwetę Giewontu, która nie odstępowała jej od chwili wyruszenia ze stacji.

Przezyste powietrze wchodziło falami w zmęczone jej płuca i wypłukiwało z nich gorączkę i zarazki.

Ciemne świerki, nieznajoma rasa drzew, stały nieruchome, sprężone z powitalnych szeregach, salutujące.

Póki wnoszono rzeczy, Józia poszła dokoła klombów przed gmachem. Nasturcje, czerwone oczy jesieni, podnosiły do niej swoje kielichy. Zerwała jedną pokryjomu i zżuła w ustach. Pałacy smak płatków przypomniał jej dalekie, dalekie dzieciństwo, kiedy brała te kwiaty z kamiennych wazonów werandy...

Mąż poszedł do niej. Z despotyczną miłością wziął pod rękę i poprowadził.

Tyle razy marzyła o Zakopanem! A teraz jakby w majaczeniu odległym, patrzyła na ozdoby w stylu



ludowym, widziane na rysunkach, gdzieś w „Na przełęcz” Witkiewicza, w jakichś zeszytach zdobnictwa ludowego. Cicho i biało było w sanatorium. Odpoczynek wyciągał do niej ręce z każdego zakątka.

A obok snuła się ciężka, nieprzemierzona boleść: Michał Zastrożny w obozie jeńców, głodny, brudny, chory zapewne, obłąkany nostalgją...

Zatrzymała się z męką na twarzy:

— Ja tu nie mogę być... Wolę mieszkać gdzieś, gdzie nie tak ładnie, nie tak dobrze... I tam, gdzie gorzej, można się wyleczyć.

— Będiesz tam, gdzie najlepiej, — rzekł Komar stanowczo. Gdy weszli do pokoju, dodał:

— Napisz list — pošlemy Michałowi — i dużo pieniędzy też. Będziemy go oboje kochali i dbali, żeby mu było dobrze. Będę się starał wyrwać go stamtąd. Teraz już będziesz spokojna?

Józia opłotła go ramionami.

— O tak, pamiętaj o Michale! Gdybyż choć słowo od niego.

Komar obiema rękami przycisnął jej głowę do piersi. I zdawało się mu, że pod dotknięciem tej głowy serce jego odradza się i zmartwychwstaje.

Zdjął z niej okrycie, posadził w fotelu i całował po rękach, gdy do drzwi zapukano. Wszedł lekarz z asystentem. Józia, bardziej skrępowana obecnością młodego męża, który patrzył na nią drapieźnie, niż lekarzy, dała się opukać i wysłuchać.

— Lewy szczyt zajęty, — rzekł lekarz, patrząc przez binokle na Komara.

Komar wyszedł z lekarzami, a po chwili wrócił zadowolony.

— Powiadają, że łatwo wyleczyć. Tylko musisz ich słuchać.

Józia leżała na szeszlangu, patrząc przez okno na kadłuby gór, czerwieniejące w zmierzchu.

Komar usiadł przy niej. Podłożył ramię pod jej

głowę. Zbliżył usta do jej ust bezbronnych. I w wybuchu szczęścia poczuł, jak usta jej drżą i bezwładnie ją od oszalałmającej, śmiertelnej rozkoszy...

\* \* \*

Komar zbliżał się konno do dworu. Sprzykrzył mu się mróz i towarzystwo bandytów. Hadziuk ciągle mu coś syczał w ucho o współpracy z bolszewikami. Komar zachął się wewnętrznie, ale słuchał, odkładając w głębi, na później, jakąś postanowioną, ciężką sprawę.

Psy zaczęły szczeleć. Komar zwrócił się do towarzysza.

— Chodź, Hadziuk, czynić sprawiedliwość społeczną. Ja pierwszy wejdę, a ty obstaw dwór, a potem zamelduj się do mnie.

Był zmierzch i okna dworu jedno po drugim zaczęły się zgaszczać światłem. Komar zsiadł z konia i znużony wszedł na ganek. Myślał, że napróżno jeździł do Lotwy, bo nie udało mu się spieniężyć łupów. Z żydami bolszewickimi nie chciał zaczynać, a tak chwila „likwidacji interesów“, o której pisał Józia, wciąż się odwlekała.

Na ganek wyszedł tęgi mężczyzna w szarej bekiesy z barankami.

— A kogo Pan Bóg dał? — rzucił pytanie w dookolny mrok.

— Podróżny, czy można ogrzać się?

— Pan sam?

— Sam. Może pan każe konia wziąć...

— Dobrze. Hej, Władysław! — huknął w stronę stajni.

Wylazł, rozleniwiony zimą, parobek w kożuchu.

— A weź-no konia, — rzekł ziemianin, potem zwrócił się do Komara uprzejmie:

— Służę panu.



Komar wszedł za nim, zrzucił kurtę myśliwską i otrzepał buty. Wprowadzono go do salonu. Wypatrzone już przez okno, że przybył gość i wszyscy ściągnęli z facjatki na górze, z bokówek i przybudówek do salonu.

Komar, mrużąc niezrozumiałe nazwisko, kłaniał się poprawnie i całował w rękę sędziwą matronę w koronkach na siwiznie, zażywną damę o donośnym głosie, naprędce przyczesane dziewoje, zanudzające się w starym dworze, do którego po wojnie zatarło ubite szlaki; potrząsał prawicę starych panów i jasnowłosych wyrostków. Wreszcie utonął w wyświechtanych pluszach empirowego fotelu.

— Pan z daleka? — zapytał gospodarz.

Komar, wielząc, że się nie wymiga od wylegitymowania się co do celu podróży i wyprowadzenia paranteli, zaczął łączyć na poczekaniu jakąś historję, wreszcie znużył się i umilkł.

Tymczasem jasnowłosa panna siadła do fortepianu. Grała znośnie. Melodyjnemi akordami Chopina wołała tego, kto mógłby się stać wybranym serca. Wylewała tęsknotę bujnego życia, zamkniętego w starym, białoruskim dworze, w tym jeszcze nieodwilczonym okresie poinwazyjnym, gdy trzeba było odbudować się po ruinie i wyrzec się szerokiego życia...

Komar zbliżył się do fortepianu. Było to to samo preludjum, które raz, w czytelni sanatorium zagrała mu Józia. Poczł się nagle w swojej sferze, w miłym ciepłym gościnnym salonu, on — bezdomny, ściganym wylęcąga, wyszły z lasu...

— Jak pani pięknie gra, — rzekł cicho a wnikliwie...

Panna zarumieniła się, przerwała i siedziała z rękami na klawiszach.

— Słuchając pani, wyobrażałem sobie, że poryam ukochaną kobietę, sadzam na swego karego konia i pędzę z nią w bezkres przez śnieżne pola...

Panna trwała rozmarzona i zasugerowana. O tak, lecieć tak w bezkres, na koniu, w jego ramionach, przez śnieżne pola...

Komar ożywił się i flirtował dalej, aż poproszono na kolację.

Znalazłszy się przy stole obok panienki, dyskretnie podsuniętej przez ciotki (a nuż jaka partja!), Komar ożywił całe towarzystwo. Krytykował administrację miejscową, karciał mniejszości narodowe, opowiadał o teatrze w Warszawie i Krakowie i o sezonie w Zakopanem. Gospodarz coraz to podsuwał mu wędliny litewskie, gorące kartofle z mlekiem zsiadłym, ser i pieczywo.

Komar z przyjemnością jadł i gadał, oderwał się na chwilę od swego życia.

— Zaraz, jeszcze jajeczniczki dla pana, — ugrzeczniała się zadowolona gospodyni, zwracając się ku drzwiom, ale zamiast fertycznej pokojówki, stanął w nich człowiek w krótkim kożusku z karabinem.

Komar przesunął ręką po czole. Wracał do swojej roli.

— A ty kto? — krzyknął gospodarz przestraszonym głosem.

Hadziuk, mrużąc oczy, czekał znaku.

Komar powstał, odkładając serwetę.

— Szanowni państwo, przykro mi; że przerywa się nasze miłe *entretien*... Ale nadeszli moi ludzie w roli najnieznośniejszych *trouble-fête*. Trudno — każdy ma swój fach. Panowie spożywacie nadwartość, nagromadzoną przez pokolenia całe chłopów, a ja, bezdomny i bezrobotny byłem wojskowy, zajmuję się wyrównywaniem stanu posiadania.

Gospodarz stawał się purpurowy.

— Kto pan jesteś? — zapytał wyniośle.

Bandyta skłonił się szarmancko:

— Komar, do usług.

Przy stole powstał nieopisany zamęt. Gospodarz,



stojąc, starał się ukryć pod serwetą pierścionki. Leciwa a jeszcze marząca o małżeństwie ciotka zemdliała. Staruszka w koronkach na siwych włosach, która w dzieciństwie przeżyła powstanie, która przetrwała wojnę rosyjsko-niemiecką i bolszewików, dźwignęła się gniewna i stukając kijem w podłogę, powtarzała:

— Hańba, hańba, i to szlachcic, były wojskowy...

— Pan nadużył naszej gościnności, — ostatni rozbójnicy na świecie tak nie postępowali, — hardo napadł na niego łnianowłosey młodzieniec w kurcie gospodarskiej i butach.

— Powoli, powoli, nie zapominaj, żółtodzióbie, że jestem istotnie szlachcicem.

— Jeżeli pan bandyta jest szlachcicem, to za obrazę ogniska domowego, niech się bije ze mną!

— Tolek, jesteś warjat, zgubisz nas wszystkich, — szeptała zażywna dama szeptem, rozlegającym się na sześć pokoiów dokoła.

Komar popatrzył na młodzieńca. Podobał mu się.

— „Zbójców“ Schillera pan czytał?

— My trzymamy z ententą. Nie chcemy znać niemieckiej kultury.

— A „Korsarza“ Byrona młodzieniec czytał? Toż przecież autor po stronie ententy.

— Literaturę bandycką pozostawiam fachowcom.

— A szkoda, — ciągnął Komar, nie zważając na docinek, — gdyby młodzieniec znał cokolwiek literaturę romantyzmu, toby rozumiał człowieka, przeciw któremu sprzysięga się cały świat obrośnięty tłuszczem i szeleszczący banknotami, cały świat zasobny, posiadający, dzierżący władzę... Sprawiedliwości nie wymierza nikt, krzywdy nikt nie wynagradza. Społeczeństwo pozostawia jedyną prawdziwą wolność ustroju republikańsko-burżuazyjnego: umierania z głodu pod płotem. I wtedy człowiek silny podnosi bunt przeciw smokom strzegącym złota: bierze od tych, co mają za wiele, aby oddać tym, co nic nie posiadają. Wyrów-

nuję niesprawiedliwość społeczną. Szanowni panie i panowie, proszę o klejnoty i portfele, rozstawajcie się z nadwartością! Niech powędruje do biednych chat! Hadziuk, zbierz od państwa ofiary na bezdomnych! A pan zwrócił się do gospodarza, — za mną!

I szybkim ruchem wyjął rewolwer.

Bandyci stali we wszystkich drzwiach.

— Panie, chcę parę słów z panem, — szybko wyszeptała jego sąsiadka przy stole.

— Służę pani, — skłonił się Komar, — ty, — rozkazał bandycie, — odprowadź panią do salonu — strzeżcie we dwóch, niech do niej nikt nie podchodzi, — zaraz przyjdę.

I wyszedł, puszczając przed sobą przodem gospodarza.

Prowadził go do jego gabinetu, znając widocznie doskonale rozkład domu. Tam usiadł przy biurku i wskazał miejsce panu domu.

— Zapewne pan ma niezłe cygara, — rzekł bezczelnie.

Szarżował. Śmiertelnie zraniony potępieniem, grał ordynarnego rzezimieszka.

Gospodarz wyjął pudełko i poczęstował.

— Tak, — rzekł Komar po chwili milczenia, puszczając kółka dymu, — bardzo wy tu z pańska, po szlachecku. Więc, żeby uniknąć przykrych procederów, niech mi pan pod słowem powie, jaki ma pan w tej chwili zapas pieniędzy? Zabiorę panu tylko część. Nie chcę, żeby jadła suchy chleb ta urodziwa panna, grywająca preludja Chopina, — dodał z sarkazmem.

Gospodarz wziął notatnik i zsumował.

— W banku mam dwieście tysięcy złotych.

Komar wymienił sumę, która ma być natychmiast wypłacona i patrzył, jak ujęty przez niego, jak w obcegi, właściciel wyjął z biurka banknoty i zaczął liczyć.

— Zrujnuje pan moje gospodarstwo, nie będę miał na wypłaty ludziom, — zatrzymał się nagle, czu-



jąc, że z pieniędzmi jakby uchodzi krew obiegowa wielkiego organizmu rolnego.

— Piękna panna Michalina nie pojedzie tej zimy po męża na karnawał do Warszawy, nic więcej, — rzekł wesoło Komar.

— Oj, że nie pojedzie teraz nikt i nigdzie, to pewna, — mruknął starszy pan przez zęby, — ale też i parobcy moi zostaną bez kozuchów.

Komar nie odpowiedział; wziął banknoty, schował starannie i poszedł do salonu. Tam odprawił bandytów i został sam z panną Misią. W sąsiednim pokoju trwał przykry gwar grabieży pod wycelowanemi łufami.

— Co pani mi chciała powiedzieć? — rzekł, pochylając się ku pannie.

— Panie, — zawołała panna Misia z wybuchem, — pan jest nowy człowiek, pana tu nikt nie rozumie! Pan przeciwstawił się całemu światu! Ja pana odczuć potrafię — dla mnie świat jest taki nudny i szary! Oni wszyscy banalni — nie banalny jest tylko pan!

— Dziękuję za uznanie, — nozdrza orlego nosa Komara leciutko się rozděły.

— Jak to cudownie być musi lecieć w zimową, wyiskrzoną gwiazdami noc na koniu! Lecieć w nieskończoność — samotnemu wśród całego okręgu świata!

— Z bandą hołoty białoruskiej w zawoszonych kozuchach!

— Dzieci i prości ludzie lepsi są od wyrafinowanych perwersjonistów i kokainistów, którzy całują nie wargami, a językiem...

— Pani widać odbyła praktykę odpowiednią, — przerwał Komar z drwiną.

— Ach, Boże, czyż mało co się słyszy na świecie! Najpiękniejszy był los owej przyjaciółki korsarza...

— Czy chce pani go wypróbować? Sprawię pani piękne futerko, czapeczkę i długie buty. Co do spodni

i bielizny — musimy odbyć konferencję. Porwę panią na konia, ale siodło mam kozackie i lęk z przodu może trochę uwierać. Na przypieczętowanie naszego korsarskiego paktu ofiaruję pani bransoletę z szafirów, zabraną od panny Niusi Nekanda, zdaje się, kuzynki pani.

Panna Misia ochłodziła.

— *Och, c'est trop fort!*

— Ale na zakończenie przyjemnego flirtu, jeden bandycki pocałunek!

Opatrzył jej wargi krótkiem, żywiołowym dotknięciem i nozdrza jego rozděły się z subtelną ironją na widok sentymentalnego rozemdlenia panny. Tak przełotnie, jak bąk otkasający pyłek z miodowników i lwiej paszczeki, dotykał obojętnie obcych kobiet w obcych miastach, pełnych tęsknoty i bezprzytułku.

Odszedł lekkim krokiem do hall'u i tu znów spotkał młodzieniaszka o lnianych włosach.

— No, chcesz się pan ze mną pojedynkować, — rzekł przyjaźnie.

— Słowa nie cofam.

— Dobrze, ale jeżeli ja padnę, moi ludzie splądrują dwór. I nie przepuszczą nikomu. Nawet pięknej kuzynce Misi.

Chłopak zadrzał.

— To prawda.

— Zostawmy więc to do innego razu, — Komar śmiał się niewesoło, — ale za to, żeś mnie pan potraktował jak gentlemana, na równi z sobą, mnie, wyjętego z pod prawa, możesz pan liczyć na względy Komara. Dla pana zmniejszyłem haracz, nałożony na ojca. Bywaj pań zdrów!

Przyjął niedbale kurtę od lokaja, przewiesił kabin przez ramię i rzucił lokajowi garść banknotów, nie licząc, ile. Przed gankiem trzymano mu konia. Wskoczył i odjechał w ciemną noc, otoczony przez dzikich ludzi, trzymany przez niego na wodzy że-



Ważną wolą — odjechał samotny wśród olbrzymiego okręgu świata.

Kiedy w jadalni Tolo rozwodził się z entuzjazmem, jak to bandyta przez niego uszanował dwór, Misia szeptała tajemniczo do siostry:

— Jaki szlachetny, co za dyskrecja! Umyślnie odwrócił uwagę na Tola, aby po tem, co było między nami, nikt nie sądził, że przez wzgląd na mnie ocalał dwór, że przez ten jeden pocałunek włos z głowy nie spadł nikomu!

\* \* \*

Z urzędu skarbowego wyszedł człowiek nędznie ubrany. Był urzędnikiem, który bezapelacyjnie otrzymał wyrok zagłady. Długotrwały głód położył na jego twarzy tony żółte i zielonkawe. Ręce mu się trzęsły. Nie mógł iść. Oparł się o mur i zatopił w bezdennej boleści swego życia.

— Co panu jest? — posłyszał po długiej chwili nad sobą.

Podniósł oczy. Przed nim stał młody człowiek. Skrzydła jego orlego nosa drgały leciutko. Szydercze, śmiałe oczy patrzyły z głębią zrozumienia i współczucia.

Zredukowany urzędnik, zachłystując się, zaczął opowiadać koleje stopniowej ruiny, otoczonej martwą obojętnością ludzi.

— Jestem w wielomiljonowym mieście, — mówił ze zdumieniem w niebieskich oczach, — a mogę tu zginać, jak na pustyni.

— Ja też kiedyś byłem wyrzucony na bruk, też ginąłem wśród obojętnego, wilczego świata, wśród tysięcy, tysięcy odpychających dłoni, — rzekł nieznajomy, — proszę podać swoje nazwisko i adres.

I zapisał w notatniku.

— Będzie pan otrzymywał co miesiąc sumę, dwukrotnie przewyższającą nędzarską pensję jedenastej

kategorji, którą pan pobierał, wraz z dodatkami drożyznianemi.

Głodnemu urzędnikowi drżały usta i nie mogły wydać głosu. Wreszcie wyjąkał:

— Imię twoje, zbawco?

— Bandyta Komar, — odrzekł nieznajomy, uchylając drogiej czapki fokowej i zuchwałe jego oczy zapłonęły wyzwaniem i sarkazmem.

## IX.

Rejonowy Komordo wrócił z partji preferansa z popem, panem Iwanowem, kupcem od niepewnych pogranicznych interesów i Szmulsonem, również kupcem, który wciąż drogami kupiecko-chałatowemi otrzymywał listy z Kowna, od ministra Sołowiejczyka.

Teraz siedział w kancelarji komendy policji w Kobylniku przed biurkiem i kręcił pióro w rękach. Chciał napisać raport o nastrojach ludności. Arkusz papieru leżał na biurku, ale młody Komordo wleky się leniwie, jak korowód osób urzędowych, które chwytaly za poły z tyłu skaczące walecy, damy krole i krolewe karciani.

— Taka kombinacja byłaby najlepsza, — mruknął, przypominając sobie ostatnie pojście, i w oczach jego stanął wachlarz kart.

Odpędził wizję i wziął za pióro. Trzeba dowieść gorliwości. Już z Krzywicz przeniesli go do Kobylnika za brak gorliwości; trzeba coś robić, nie tylko pić i grać w karty. To nie rosyjska służba... Ale pierwszej raport dla kogo innego...

Postawił pierwsze zdanie:

— Wszystkie warstwy ludności nie widzą ekonomicznej przyszłości w połączeniu z Polską i pragną jednomyślnie Wielkiej Rosji... — gdy w okno silnie zapukano.

Powstał, klnąc, i zbliżył się do okna. Ujrzał twarz



człowieka w czapie barankowej, który ukazywał mu jakąś kopertę.

Wózny gdzieś się zawieruszył, dyżurny stójkowy spał widać mocno. Komordo sam wyszedł do sieni i otworzył skobel. Drzwi silnie przytrzymało i wtargnęła gromada zbrojnych chłopów.

— Kto wy? — krzyknął Komordo ostro, po naczelnicku.

Popychając go, wszyscy się wtoczyli do kancelarji. Wtedy naprzód wystąpił młody człowiek w myśliwskiej kurcie, obramowanej drogiem futrem, w pasie z ładownicą i karabinem na ramieniu. Leciutko drgnęły jego nozdrza, gdy zapytał, wwiercając w rejonowego oczy pełne okrucieństwa i sarkazmu:

— Łaskawy naczelnik mnie poznaje?

Komordo był śmiałą sztuką. Jako funkcjonariusz policji w Moskwie, pchał się w 1905 roku na barykady, chodził na rewizje do mieszkań, gdzie podobno były bomby, dostał krzyż w armji rosyjskiej. W Polsce zadekował się i na wojnę z bolszewikiem nie wyszedł. Ale miał fizyczną odwagę byka, walącego rogami na oślep. Jednak na widok Komara ugięły się pod nim nogi.

— Poznaje pana, — rzekł, opanowując latanie szczęk.

— Spełniam moją obietnicę, przyszedłem z wizytą do pana.

— Bardzo mi przyjemnie. Przyznaję, że nie poznałem się na panu.

— Cieszy mnie przyznanie się do błędu popełnionego. Hadziuk, zajrzyj-no do biurka.

I kiedy Hadziuk z tryumfem wyciągał banknoty, dodał zjadliwie:

— Nie ciesz się, kochanieńki, aktu politycznego tu niema, konfiskuję nie pieniądze rządowe, a jego własne, łapownicze. Teraz, — zwrócił się do Komordy, — proszę się ubierać. Pomimo zastrzeżenia się

pana, sądzę, że wyświadczy mi pan honor i zrewizytuje w lesie?

— Panie poruczniku, po co ciągać człowieka. Zabrał mi pan pieniądze, to i warto za głupie powiedzenie. No, przyznaję, pchnął na złą drogę człowieka. Ja władza, mnie nie należało tak mówić. Ale i dosyć. Mróz taki, po co mnie do lasu? Dziękuję za pamięć i wizytę, zrewizytuję pana na wiosnę.

Komar, zdając się nie słuchać, podszedł do biurka i przeczytał stojące na arkuszu zdanie, napisane dużem, nieestetycznem pismem:

— Wszystkie warstwy ludności nie widzą ekonomicznej przyszłości w połączeniu z Polską i pragną jednogłośnie Wielkiej Rosji...

Podniósł na Komordę oczy błyszczące, jastrzębie:

— Jesteś urzędnik polski?

— Tak jest, panie poruczniku.

— I piszesz to paskudstwo?

— Materiał wywiadowczy, panie poruczniku. Zgodny z prawdą.

Komar złożył papier, schował do kieszeni i zakomenderował:

— Brać go!

Dali mu z szaragów płaszcz na futrze.

— Pan ataman, — zawołał bandyta — pa szto jamu hetakij każuch? Niachaj jon moj woźmieć!

— A niech bierze, — przyzwolił Komar.

Wtedy Komordzie kazano się rozebrać. Stał na środku kancelarji w bieliźnie, a galaretowaty jego brzuch trząsł się w brudnych trykotach.

Rzucono mu buty, spodnie z samodziału, ciepłą koszulę i kożuszek, a w jego uniform przebrał się bandyta.

Potem cała czereda opuściła kancelarję. Szli pustymi ulicami Kobylnika, gdzie prawie wszędzie już ognie pogasły. Tylko zrzadka czerwone okno, jak ślepie wytrzeszczone, patrzyło w czarność ulicy...



— Nikt mnie nie przyjmie z dobrej woli, — ciężko marzył Komar, — żadne drzwi na tej ziemi nie otworzą się życzliwie.

— Chyba serce mojej Józki otworzy się przede mną.

— Ale jeżeli się dowie? jeżeli się dowie?

Dlatego bał się i nie jechał do niej. Bał się, że nie wytrzyma, że wyrzuci jej pod nogi cały bezmiar swoich zbrodni i mąk, jak pecyny krwi i błota — i że ją utraci.

Zdążali do lasu po drodze, ugniecionej płozami sani, czerniejącej w pełni księżycowej wśród białych równin. Komordo od czasu do czasu zwracał się do atamana z nową argumentacją za swem ułaskawieniem, ale ten milczał pogardliwie.

Weszli wreszcie w las. Zatrzymali się na polance — białym kręgu w czarnym pierścieniu sosen. Księżyc patrzył rozszerzonymi oczodołami swej trupiej twarzy.

Komar stał, oparty na karabin, widny wszystkim w świetle, uwyrażniającem gniewną twarz jego i drżące nozdrza.

— Przywiązać go do sosny! — powiedział twardo.

Bandyci w milczeniu podprowadzili Komordę do drzewa i zaciągnęli dokoła niego sznury. Gdy odstąpili, pień potwornie zgrubiał, rzucił cień na białą paletę śniegu.

— Nie lubię brudzić rąk, — głos Komara brzmiał szyderczo, — zwłaszcza na cielskach niezbyt wypieszczonych kąpielą. Nic panu więcej nie zrobię — od drogi niedaleko, jeżeli nie zamarzniesz do rana, ani cię wilki nie zjedzą — to ocalejesz. Odejdźcie, — zwrócił się do bandy.

Potem podszedł blisko i dysząc nienawistnie, — pytał:

— Czy wiesz, ścierwo żandarmskie, moskalu zachlany wódką, coś ty mi zrobił? Zostawiłeś mnie bez wyjścia, — a mogłeś mi dać pracę, — poradziłeś mi

zostać bandytą, a ja zostałem po to, aby takiego oto sądu nad tobą w tej chwili dokonać. Komendantowi takiej zemsty nie poprzysiągłem, bo poradził mi tylko się powiesić, a tyś mi poradził siebie zatracić! I przebaczyłbym ci, pluskwo cuchnąca, łapowniku i przelniewierco, gdybyś mnie przez to na wieki nie oderwał od istoty najczystszej i najdroższej na ziemi. I rzuć cię tu w lesie bez wyrzutu sumienia, — boś ty szkodził Polsce. Patrzaj — jeżeli ocalejesz — i tak przepadniesz.

Wyjął raport Komordy i przytwierdził go do pnia nad jego głową.

Potem skłonił się ceremonjalnie:

— Moje uszanowanie panu naczelnikowi! Doczekałem się jednak łaskawej rewizyty!

Odwrocił się i poszedł. Za nim zakrakał wysilony w ostatniej agonii głos:

— Panie poruczniku, litości w imię tego, co dla ciebie najdroższe i najczystsze na ziemi...

Komar przystanął i zawahał się. Potem machnął ręką.

— Polskę plugawi, — szepnął, nacisnął czapkę na uszy i znikł między drzewami.

Komordo został sam. W ciele miał jeszcze ciepło od szybkiego, przymusowego marszu. Ale ciepło to zaczęło się rozpraszać. Mróz ssał z niego, kłórkę po kłórkę i męka chłodu zaczęła ogarniać organizm od nóg. Zesztywniały na kość ręce bez rękawiczek i po krótkiej męce, która wydzierała Komordzie jęki i zgrzyty, stały się kawałkami ciała obumarłymi i bez władzy. Odmrożona twarz wydawała się raną, a ciepłe łzy, płynąc po niej, sprawiały ból.

Poruszył się w sznurach, żeby wywołać choć odrobinę ciepła, żeby doczekać dnia.

Nagle zdaleka, z głębin lasu ozwało się wycie.

Człowiek związany drgnął i szarpnął się w więzach.



Za tym tonem solowym, podanym przez koryfeusza, ozwały się wycia chóralne. Zbliżały się w tę stronę... Przez chwilę miał złudzenie, że zmieniają kierunek... Ale to tylko wiatr odwiał straszliwy chór w pole. Stado szło ku niemu.

Na głowie Komordy powstawał włos po włosie — aż pod ich niezależnym, przerażającym sprężaniem się poruszyła się czapka. Na czoło zgroza wycisnęła pot — ale pot ten zlodowaciał i ścisnął głowę obręczą.

Między drzewami zamigotał ognik fosforyzujący... Jeden... drugi... dziesięć.. setki.

Biały krąg polany, wysrebrzony pełnią, zaroił się masą ruchomych kształtów. Wycie ustało. Wilki okalały sosnę coraz ciasniejszym kołem. Ogniki ruszały się i płały. Czuć było oddech zdyszanych, łaknących świeżego mięsa paszczy...

Komordo sztywniał z przerażenia. Już nie czuł bólu odmrożonych członków. Spróbował się modlić, ale słowa, zatracone przez lata nasiąkania rosyjskim nihilizmem, nie przychodziły mu na usta.

Koło stawało się coraz ciasniejsze. Kadłuby tłoczyły się wśród suchego tupotu twardych łap po śniegu.

Nagle jeden wilk wysunął się naprzód. Poweszył przez chwilę, potem cofnął się wstecz dla rozpedu i skoczył na szyję związanego człowieka. Ale rzut jego chybił i paszcza wpiła się w ramię, wyszarpując mięso do kości wraz z kawałkiem sznura. Komordo szarpnął się, wyrwał ze sznura, rycząc nieludzko o pomoc i próbował uciec. Kilka ciał, jak wyrzucone w powietrze pociski, ugodziło w niego. Zwalony z nóg, znalazł się na śniegu. Przykryła go ruchoma masa zwierząt...

Kiedy na polankę zszedł szary, wymęczony świt lutowy, stado wilków już odeszło. Tylko przy rozwłóczonych większych kościach jeszcze mruczeli i gryzli

maruderzy. Biały krąg polany skalala krew i czarne, brudne ślady łap.

Tylko na pniu sosny szeleścił w podmuchach wiatru raport rejonowego Komordy...

Komar wyszedł z lasu wraz z małym oddziałem chmurny i nierad z siebie. Dolegała mu dokonana zemsta nad rejonowym. A jednocześnie przyzywał rezydowę choroby bezrobocia, choroby wyrzucenia poza nawias społeczeństwa, która wzniecała w nim dziki pożar i chęć zniszczenia. Czuł jeszcze w sobie ukłucia pogardy ludzkiej dla niemającego i pchnięcia nieczułości, padające ostrym lodem na jego otwarte rany.

Szedł do Antoniewiczychy, małego folwarku za jeziorem Świrskim. Wkroczył w obejście, otoczone drutem kolczastym. Dworek z gankiem na dwóch słupach, z daszkiem trójkątnym, był szary od deszczów i lat. Ogródek koło niego, zawiany śniegiem, wystawiał tylko nagie pręty malin. Żaden chochoł nie dowodził istnienia krzewów różanych, roślin służących estetyce, nie garnkom kuchennym.

Przed świrenem pilnował ładowania worków ze zbożem na wóz pan w skromnym kozuszkę i czapce wytartej. Szpakowate jego wasy zwisały w dół żałośnie, wychudzona twarz była okrutnymi rysami poryta przez troskę.

— Dzień dobry, — przywitał Komar, — u pana coś psów nie słychać.

— Da były, dobrodzieju, były, ale jednych wilki pociągały, drugie same od złego wiktę pomarłszy. A pies, choć szczeka, tak cóż: jak przyjdą bandyty — i tak rady nie dam, zechcą włamać się złodziejaszki, tak psa sirują, ani się obejrzysz. A wilki podejda, tak z gołą garścią nie pójdziesz naprzeciw bestjom.

— A strzelba?

— Strzelby skonfiskowali, pozwolenie trzeba wyrabiać, sześćdziesiąt kilometrów jechać do Święcian.



I gospodarka nie puszcza, i konie zarżnięte. I rozchód wielki.

— Ja tu do pana z prośbą: proszę sprzedać z dziesięć bochnów chleba, słoniny, masła, jeżeli jest. Dobrze zapłacę.

— Och, dobrodzieju mój. — westchnął szlachcic, — sprzedałbym choć własną koszulę. Potem palce gryźć będziem, a dziś sprzedać trzeba.

— Cóż tak pilnego?

— Żyd, psia jucha, przyjedzie dziś z wekslem. Pożyczyłem pieniądze na inwentarz, żywiołów w majątku żadnych nie zostało. Ale cóż, rozorałem tylko połowę, dochód mały, płacić niema czem. Mówię Judkiewiczowi, żeby czekał, procent obiecuję podnieść. Ale on zrujnować mnie chce.

— No, no, to pan ma kłopoty nielada!

— Da jakże, kłopotów więcej, jak wszy w kożuchu. Ale, dobrodzieju mój, cóż my tak stoim na mrozie. Worki nakładli — na kiermasz sprzedawać posyłam — tak zamknąć tylko świrna i możem iść do pokoju. Samowar każem postawić, a żona wyda chleba i słoniny.

Przekrećwszy w zamku świrna klucz ogromny, dziedzic Antoniewiczychy włożył go za pas i poprowadził Komara do pokoju.

Rozmawiali, czekając na samowar, gdy wszedł, nie pukając, z arogancką miną, kupiec-żyd. Z pod futra tumakowego wyglądało ubranie europejskie.

— Nu, dieńgi jest? — zapytał od proga, wyjmując weksel.

Dziedzic spojrział na Komara tak żałośnie, że temu żal się go zrobiło.

— Chodź pan, — pociągnął Antonowieckiego za rękaw do drugiego pokoju.

Tam wyjął pieniądze i, zapytawszy o sumę, odliczył ją Antonowieckiemu.

— Spłać pan zaraz tego Jankla nie-mickiewiczowskiego.

— Dobrodzieju mój, da całe życie pamiętać będę! Weksel na siebie przepisać każesz?

— Żadnego weksla, bierz pan i płac.

Antonowiecki, nagle pełen życia i animuszu, wrócił do pokoju, gdzie rozparł się w fotelu Judkiewicz.

— Czapkę zdjąć, parchu, tam gdzie wiszą obrazy święte! — huknął na niego.

— Nu, co pan wrzeszczysz? Ja mogę zdjąć... — spokorniał Judkiewicz, nagle odzyskując znajomość polskiej mowy.

Antonowiecki, rosnąc, jak na drożdżach, z miną wielkiego pana zapłacił weksel i podarł go z niewymowną satysfakcją.

Judkiewicz przeliczył i schował pieniądze, poczem nachylił się poufale do Antonowieckiego.

— Nu, jak pan tak płaci, tak proszę liczyć na Judkiewicza. On gotów panu wygodzić.

— Dobrze, dobrze! — odparł Antonowiecki wspaniałomyślnie i odwrócił się do Komara, który w tej chwili wydawał cichy rozkaz towarzyszącemu mu bandycie; ten wyszedł z pokoju za Judkiewiczem.

— Dobrodzieju mój! — zaczął Antonowiecki, — jak dziękować? Życie całe nie zapomnę! Tyle pieniędzy pan nie pożarował! Jak ja się wypłacę?...

— Nie miałem co żałować, — uśmiechnął się Komar, a oczy jego zaiskrzyły się dziko, — te pieniądze wróca do mnie...

— W jaki sposób?

— Moi ludzie odbiorą je Judkiewiczowi pod lasem.

— Ludzie pana? A kto pan jesteś?

Dobroczyńca odpowiedział z wesołym ognikiem w spojrzeniu:

— Komar.



Zadzwieczał dzwonek na podwieczorek. Józia poruszyła się w futrzanym worku, w którym werandowała w długiej galerji sanatorjum, na jednym z leżaków, ustawionych szeregiem. Czyste powietrze wiosenne oplókało jej płuca. Giewont zrzucił ze siebie sinawoszare, brudne tony zimowe. Stał teraz w tiulach niebieskiej szreżogi i głowa powalonego olbrzyma patrzyła pustemi oczodołami prosto w twarz słońca...

— To był rycerz, który postanowił wejść na szczyt i spojrzeć prosto w twarz słońca... I nie zamknąć powiek, i, pierwszy z śmiertelnych, wytrzymać jego piorunującą światło... Słońce wypaliło mu oczy. I padł na wznak, i leży... Ale w pustych oczodołach ma całe, niegdyś ujrzone bez mrugnienia światło kosmiczne...

Tak marzyła Józia... Takim rycerzem, zagląającym bez trwogi w twarz słońca, był jej nieustraszony, szalony Janek... Ale on tak nie padnie, o nie, jego wzrok wytrzyma...

I uśmiechała się do swoich snów tęsknotą młodego, odnowionego organizmu, tęsknotą soków, zaczynających krążyć w młodej brzozce.

Posługacz zdjął z niej pledy i futra. Poszła do swego pokoju w pięknym płaszczu z futrem pantery, w jedwabnym kapturku na głowie, lekko stukając bucikami z perłowej skórki.

Oglądano się za nią. Ciężko chory gruźlik nie zarumienił się, bo już mu ocegliły twarz oddawna wypieki hektyczne. Ale posłał za nią ostatnią na ziemi, konającą tęsknotę swych oczu.

Józi zablizniły się płuca. Twarz zaróżowiła się, kształty stały się dojrzałsze i pełniejsze. Zrzuciwszy na rozkaz Komara skromne ciemne kostjumy i znoszone buciki, prędko nauczyła się ubierać bogato i wy-

kwintnie. Uwięzione w niej siłą woli instynkta szczęścia i użycia wyrwały się na wolność, jak żrebce więzione i pędziły na oslepi.

Przyszedłszy do swego pokoju, poprawiła jasne włosy przed lustrem, zmieniła jumper zielony na niebieski i zesłała na podwieczorek.

Przywitano ją wesoło. Niektórych widziała już na werandzie. Bogactwo jej i uroda imponowały. Starano się o jej względy.

— Pani taka dziś ożywiona, — zauważył wpatrzonej w nią młody dyplomata po lewej stronie.

— Bo dziś środa, będzie od męża wiadomość, — odpowiedziała Józia.

— A jaka wiadomość? Perłowa czy brylantowa? — zaśmiała się chuda brunetka naprzeciwno.

Nie zazdrościła Józi. Żona bankiera, córka paskarza wojennego, poznała wszystkie rozkosze, jakie daje duszy ludzkiej bezduszna rzecz, rozkosze tak niesłychanie względne i przemijające, tak nigdy nie osiągające pełni, a tak rychło nużące się i wyczerpane...

Oddałyby dziś wszystkie bransolety, jedwabne suknie-koszulki, oszywane strusiem piórami, wielkie pieniądze, których nie miała sił wydawać — za jeden dzień prawdziwego zdrowia. Ale płuca jej rozpadały się gwałtownie... Miała wyjeżdżać do Egiptu.

Znużenie stąpiło jej instynkta drapieżne. Przystała być rywalką kobiet. Walczyła tylko desperacko, z szaleństwem przerażonego nihilizmu, ze śmiercią, z cieniem wiecznie wlokącym się za nią.

Józia spojrzała na nią ze współczuciem i serce jej ścisnęło się na myśl, że ta oto istota nigdy więcej nie pozna upojonej pełni życia, która jej przypadła w udziale.

Po podwieczorku Józia zbiegła, nucąc, ze schodów, do hall'u. Tam już oblesny portjer podał jej przywieziony właśnie z poczty list i przesyłkę.

Usłużny dyplomata znalazł się tuż przy niej, po-



magając dźwigać na górę opakowane pudło. Przy sposobności musnął rączkę, ale Józia tego nie zauważyła.

Zostawszy sama w pokoju, rzuciła się na list. Zaszumiały radośnie słowa, jak sosny pijane wichrem w noc burzy:

— I jesteś najcudniejsza... Chcę mieć skrzydła, jak wicher i jednym ich poruszeniem przerzucić ciebie na moją pierś i odrzucić z powrotem... Włosy twoje są z nici złotych, przedzonych na kołowrotkach dobrych wrózek... Nad huczącym mrokiem mego życia, rojącym się od oślizgłych, mackowatych potworów, ty świecisz, jak eicha jutrzeńka... Kiedy przypominam sobie linję twojej szyi i opadających w dół ramion, słyszę muzykę... Nie mogę dłużej bez ciebie... Postaram się prędko przyjechać, abyśmy się już nigdy nie rozstawali“.

Józia czytała jeszcze i jeszcze, doznając zupełnego, przelewającego się za brzegi zadowolenia i burzliwych porywów zachwytu. I jej grała muzyka... Jakaś słoneczna, wagnerowska fanfara — jak z „Walkirii“.

Potem rozpruła posyłkę i otworzyła pudło. Jan usprawiedliwiał się, że rzeczy nieszczególne, tylko z Wilna. Ale były tam wspaniałe butory, srebrna lama na suknię i paciorki z kości słoniowej, i cienkie batysty z walansjenami.

Jan chciał własnymi rękami wybierać to, co ona nosiła. Sprawiało mu to wielką przyjemność.

Józia włożyła na siebie paciorki. Unosiła ją radość — nie mogła usiedzieć w pokoju, ani w zakładzie nawet. Posłała po konie.

Wyszła z hall'u i wsiadła do powozu. Popołudniowe powietrze chłostało jej krew ostrą rzeźwością pierwszej wiosny.

— Dokąd, proszę pani? — zapytał woźnica-góral w czarnym kapeluszu.

— Do doliny Kościeliskiej.

Jechała szparko i, otulając się futrem, przypomi-

nała moment po momencie niewymowne szczęście doznanego gwałtu, męskiej, nie cofającej się przed niczem siły.

Napróżno rozumowo piętrzyła oburzenie przeciw gwałcicielowi. Napróżno wydobywała, jak zwierzęta nieśmiertelniki, swe skrupuły natury moralnej. Podświadomy instykt wybuchał tryumfem. Była kobietą — kochała akt przemocy nad sobą bardziej od własnego zwycięstwa...

Ale jak chmury na rannem słońcu, wlokły się za nią podejrzenia i obawy. Słyszała, idąc po schodach, jak dwóch kuracjuszy mówiło:

— Nie, takich bogactw, jak ma Rosieńska, nie nabywa się prostą drogą... Musi jej mążulek ciągnąć paseczek i to nie bylejaki... Pewnie kosztem państwa polskiego. Namnożyło się teraz po wojnie szubrawstwa...

Rozpamiętywała bezwzględność i gwałtowność męża i myślała, że nie musi on być zawsze w zgodzie z ludźmi. Umie wynagradzać, ale nie cofa się też przed wymierzaniem zemsty.

I pisała do niego listy najbardziej kojące, wzywające do porzucenia niebezpiecznego proceduru na pograniczu, do poprzestania na skromniejszych warunkach bytu, zwłaszcza teraz, kiedy jest zdrowa. Wzywała go do siebie, aby jeszcze raz wpłynąć osobiście, przy sobie zatrzymać.

Jan pisał listy wymijające. Dopiero ten list pierwszy zapowiadał spełnienie jej pragnień.

Przyjedzie... Spocznie na jego sercu burzliwym... Żłota mgła spłynie na ich oczy... Wiosenne siklawy zahuczą w krwi...

Wjechała do doliny. Na ostatnim w tym roku śniegu złościły się krokusy. Nieco dalej pod świerkami słały się taflą jedwabną krokusy lila.

Józia kazała się zatrzymać. Szaremi botami, obra-



mowanemi futrem, śmiało stąpiła w śnieg. Podeszła do zagonu złotego kwiecica. Piękno przeniknęło ją nawskroś, jak prąd słonecznego ciepła.

— Te złote krokusy — to moje sny o nim, — myślała, — o nim, jedynym, silnym, władnym. A te lila krokusy — to moje smutki i obawy, wlokące się za blaskiem, jak cienie...

## XI.

Na groble wysypała się z lasu gromada ludzi. Mieli przerzucone przez ramię karabiny. Szli w skupieniu, oglądając się często. Na przedzie szedł człowiek o zielonych, łotrowskich oczach. Wpatrywały się nieruchomo te oczy przed siebie, jak kałuże, zasnuwane malachitową rzęsą.

Z łożyny zerwał się kruk i poleciał nisko, kracząc im nad głowami.

— Wouk jaho jesz! — zaklął jeden z idących. Na pohybel jon karkajeć! Hladi, Hadziuk!

— Milcz ty, Notik, — odparł Hadziuk, — niezwyczajny ty jeszcze! Co tobie kruk! Czuje, że padliny dla niego narobimy!

Stanął szeroko w nogach i w bezgłośnym śmiechu pokazał ostre zęby — szczękę drapiezną, skrzywioną zgoła nieludzkiem okrucieństwem.

Notik splunął nieznacznie i odwrócił się.

Zbliżali się do dworu w Borotnikach. Tuż za bramą ujrzeni przeredzone, połamane potwornie szpalery grabowe. Trawniki i klomby pozarastały chwastami. Na miejscu dawnego pałacu sterczała z ziemi okopcony fundament.

— Wykurzyli panów, jak lisów z nory, — zatarł ręce Hadziuk, — nie będzie tu Polaczy, nie!

Skreślił ku drewnianemu barakowi, widniejącemu w głębi podwórza. Na spotkanie ich wyskoczyła bosą dziewczką, opatulona chustką.

— Kolasiński jośe? — spytał ją Notik.

— Jośe, — zaszepiała, — po obiedzie odpoczywa.

— A broń schroniła?

— A jakże. Nie najdzieć.

Podeszli do domku i otworzyli.

— Pan Kolasiński, wychodzi! — zaczęli krzyczeć grubemi głosami.

Po chwili ukazał się znienawidzony rządca w kurcie gospodarskiej.

— Czego wam? — zapytał wyniosłe.

— Ho, ho, nie tak po pańsku! — zarechotał Hadziuk, — a ty nam oddaj tę krowę, co ty za zboże zdeptane Hrehorcukowi zabrał! A ty oddaj chłopców, co ty zandarmom w rekruty wydał!

Kolasiński, obskoczony od przodu, cofnął się do drzwi, wpadł do sieni i drzwi zatrzasnął. Dygocąciami z nagłego podniecenia dłońmi zasunął ciężki skobel. — Ledwo zdążył to uczynić, załomotały w płatwę niemocną buty i kolby.

— Atcziniaj! atcziniaj! — wrzeszczeli.

Wąty barak dygotał.

Kolasiński wpadł do pokoiku, gdzie mieszkał i rzucić się ku ścianie, na której wisiła broń. Ściana była pusta.

— Broń zabrali, swoi! — zachlusnęła mu serce niezmierna gorycz.

Słyszał, jak przynieśli rzucone przez robotników przy drwach siekiery. Rąbali drzwi...

Modlił się w duchu, by przyszli najemnicy z pola, by przyjechał tamtędy żołnierz lub policjant... Nie, nie! oni nie mogą rozbić drzwi!...

Ale drzwi wyleciały z zawias — z głuchym łoskotem runęły na kojec stojący w sieni, i przeraźliwie zagdakały kury.

Kolasiński stał — i mięśnie jego samozachowawczo przeżyły się i tężały. Nie bał się — był przecie



w wojsku — ale czuł straszliwą odrazę do tego, co z nim zrobią.

Kura krzyczała nieznośnie i cienko — pomyślał, że oto przychodzi najwyższe — a towarzyszy mu tylko odgłos kurzego alarmu.

Obskoczyli go znowu — potracając (o, te chamskie, lepkie łapy!), wyprowadzili na podwórze.

— No, pan Kolasinskij, dosyć tobie! — syczał Hadziuk, — naznęcał się nad białoruskim ludem! Zdejmuj ubranie — zakopać szkoda! Jeszcze my ponosimy!

Kolasiński uznał, że nie warto ani bronić się, ani protestować. Spokojnie zdjął ubranie.

— Kończcie go, — komenderował Hadziuk, — Wasyl, twoja kolejka! On waszej wsi dokuczał najwięcej!

Wasyl, niedawno wciągnięty do bandy, przymknął oczy i trzęsąc się, strzelił na oślep. Kula trafiła, przeszła płuca i czerwona plama szybko zaczęła się rozrastać na białźnie. Kolasiński stał, chwiał się na nogach, po chwili upadł na kolana, potem przewrócił się na bok.

Hadziuk nachylił się, przyłożył lufę karabinu do skroni rządcy i strzelił.

— Teraz już gotów, — powiedział spokojnie, kopnął konającego nogą i poszedł do baraku.

Odbył się szybko rabunek — i bandyci wyszli znowu na groblę.

— Teraz do Zastrożny, — powiedział Hadziuk, — ale tam ja z wami nie pójdę. Mówcie tylko ludziom: Komarowa banda, sam Komar zabił Kolasińskiego za to, że z polskimi władzami szedł ręka w rękę!

Hadziuk skreślił w lasek i znikł. Banda szła z powrotem groblą.

\* \* \*

W Dubowie tak samo nie było nikogo. Wszystko czekało przygotowane. Kusztekjo porozysłał ludzi

w pole. Bandyci weszli do domku i zastali panią Zastrożną leżącą w łóżku. Była niezdrowa.

Na widok bandytów, usiadła w łóżku spokojnie. — Wy co za ludzie? — zapytała.

— Ludzie, — grubo odpowiedział bandyta, — oddawaj broń, dwa karabiny zdobyczne, co syn oficer zostawił. Jemu nie trzeba, już zgnił u bolszewików.

— Co ty wiesz o tem?... — zaczerwieniła się z gniewu Zastrożna.

— Może i wiem! Karabiny gdzie?

— Niema!

— Dawaj zaraz! — krzyknął drugi bandyta i przystawił jej lufę do skroni.

— A ja taki nie dam, — spokojnie powiedziała pani Zastrożna z nieprzepartym uporem.

Nagle zatupały gwałtownie czyjeś nogi na ganku. Wpadł zdyszany bandyta, zostawiony na czatach.

— Policja idzie! — szepnął.

Banda odstąpiła od chorej. W zamieszaniu jednemu z bandytów spadła czapka, głęboko nasunięta na oczy.

— Notik, ty z nimi? — krzyknęła mimowoli pani Zastrożna.

— Mołczy, proklata! — syknął Notik i podniósł rewolwer.

— Nie strzelaj, policja tuż, — powiedział słumionym głosem Wasyl i ścisnął go za rękę.

Banda szybko się wycofała. Pani Zastrożna leżała oszołomiona. Po chwili przez otwarte drzwi wpadł patrol objazdowy.

## XII.

Zapadała odwieczarz.

Pani Zastrożna siedziała na ganku. Łuskała machinalnie zielone strąki grochu i wysypywała ziarnka w stojącą obok miskę glinianą. Ale serce jej gryzła



nieusypiająca tęsknota, obracająca się, jak nóż w ranie.

Pies zabrzęczał łańcuchem przy budzie i zawył przeciągle. Bąk zahuczał na bagnach. Przyleciał bocian na gniazdo, stanął na jednej nodze i zaklekotał. Za nim przyleciały młode bociany.

Pełne i szczęśliwe jest gniazdo. Młode jeszcze są w gnieździe.

Od strony Kurników szedł człowiek z głową pochyloną. Podpierał się kijem i posuwał powoli, jakby z trudnością odrywając nogi od ziemi.

Pani Zastrożna patrzyła, jak szedł aleją wysadzaną młodem i topolami. Poznawała go stopniowo.

Podchodził, ociągając się, stanął przed gankiem i zdjął czapkę z pozdrowieniem.

— A czego wam, Notik? — zapytała pani Zastrożna niechętnie.

— A bo mówili, że panieczka poznała... poznała maho syna...

Chlipnął nagle.

— Poznałam i chciał mnie zastrzelić, — odparła Zastrożna powściągliwie.

— A bo ich wszystkich wzięli...

— Chryste Panie! A no, to dobrze, że tych zdrajców bolszewickich zamkną. Długo ich łapała policja. Nameczyli się.

— Teraz pani za świadka będziesz.

— A będę. I będę świadczyła podług sumienia.

Notik stał ogromny i bezradny, oparty o swój kij. Wznosił ku niej niebieskie oczy, zalane łzami.

— Pani też syna majesz. Jego też tam mogą rozstrzelać. Nie pokazuj pani na mego syna — uratuj człowieka! On będzie już zawsze za Polszcza, on nie posłucha bolszewika! Uratuj jego, panieczka, Polakiem będzie, na dobrą drogę wróci!

— Powołujecie się, Notik, na mego syna. Ale mnie syn mój, który cierpi za Polskę, nakazywał: —

Dla zdrajców, co z bolszewikami trzymają, nie miej litości, matko. Oni wbijają nóż w serce Ojczyzny — czyż ci Ojczyzna nie droższa?

— Panieczka, mój chłopiec dobry, źli ludzie go zepsuli. Nie gadaj, panieczka, na sądzie, ratuj moje dziecko!

— Nie mogę, Notik, mnie przysięgać każą — jakże nie powiem?

— Panieczka, źli my byli, dokuczali tobie, dom twój spalili — zabić oni ciebie chcieli — ale Pan Jezus więcej przebaczył! Teraz ty nas w rękę trzymasz! Tylko ty panieczka ich widziała. Daruj ty nam, jak mordercom swoim Pan Jezus darował!

Za węglem domu czerwona i szydercza mignęła twarz gnoma, siwą brodą okolona.

— Nie mogę, — zaczęła Zastrożna, ale nagle koszyk z grochem wypadł z jej rąk. Powstała w niewymownym wzruszeniu.

Aleją topolową zbliżał się żołnierz w ubraniu zniszczonym i brudnym. Był wychudzony, prawie czarny na twarzy.

Im bliżej podchodził, tem mocniej bladła pani Zastrożna.

— Wojtała! — zawołała stłumionym głosem — gdzie mój syn?

Ordynans stanął na baczność i zasalutował.

— Melduję posłusznie, pan kapitan umarł u bolszewików.

Wydobył z zanadru busołę i notatnik i oddał matce.

Pani Zastrożna wzięła do rąk pamiętki. Twarz jej zrobiła się twarda i nieruchoma.

— Co mówił przed śmiercią? — spytała.

— Bracia rodzeni, mówił, pozrywać druty, pozrywać druty...

Pani Zastrożna zapadła w myśl tajną i niezmiernie głęboką. Pod pokładami jej duszy trysnęło nowe



wywierzysko. Podniosła twarz, okoloną uśmiechem przedziwnie bolesnym:

— Słyszeliście: mój syn, który umarł za Polskę, — kazał pozrywać druty. Te druty, które obce, złe ręce przeciągnęły między nami, braćmi na jednej ziemi. I dlatego — Notik — ja wam wszystkim przebaczam. Nie chcę świadczyć przeciw synowi waszemu.

I nie słuchając bełkotu łez i podziękowań, odwróciła się, zawsze prosta i żadnym ciosem nie złamana, i poszła ku Męce Pańskiej, stojącej na skrzyżowaniu topolowych i świerkowych alei.

\* \* \*

Pani Zastrożna szła pod lasem. Zaniepokoił ją brzęk kos w głębi zarośli.

Wyszła na łąkę, leżącą wśród ciemnych świerków, jak jasny krąg, poprzątkany fioletowymi storczykami i smółkami. Kilku kosiarzy równymi rozmachami kładło trawę pokotem.

— Kto pozwolił tu kosić? — surowo zapytała dziewczyczka.

— A Kusztejko kazau, — odparł jeden z nich.

— Tej łąki nie pozwoliłam mu kosić, oddałam ją Łukszy z Kurnika.

— My nia wiedajem.

— Idźcie stąd... zabraniam tu kosić!

Kosiarz podrapał się w głowę i rzekł niepewnie:

— Kusztejko kazau, heteż jon zapasznik...

I znowu mignięciem półkolistym kosy położył na ziemi pas trawy.

Pani Zastrożna podeszła ku niemu z władnym gniewem w oczach — z gniewem wielu panujących pokoleń, przed którym ci, co przed nią stali — przywykli się ugiąć.

Z energią wyrwała parobkowi kosę z ręki i rzu-

ciła ją na ziemię. Chłop zgłupiał i stał z otwartymi ustami.

Z kolei podeszła do pozostałych i odbierała im kosy. Zaledwie stawiali opór.

Potem zwróciła się do najmłodszego i wskazała kosy leżące na ziemi.

— Nieś za mną! — powiedziała.

I odeszła. Za nią szedł chłopak z kosami.

Zamknęła je w świrnie, a potem zamknęła się w swoim mieszkaniu.

Czerwona twarz gнома, okoloną białymi kudłami, ukazała się wkrótce w okienku.

— Pani, proszę pani...

— Nie mam z panem nic do gadania.

— Ja po dobremu. Niech pani podejdzie.

Pani Zastrożna zbliżyła się do okna i otworzyła je.

— Ja tak pracować nie mogę. Drapak swój pani odebrała, konie swoje wczoraj wyprzegła, a było w umowie mnie dawać do roboty. Dzisiaj kosy pani pobrała.

— To czemu kosisz nie według umowy? Ja umowy nie spełniam, a pan mi żyto oddałeś za dzierżawę? Dwieście pudów, a dotąd ledwo 50 otrzymałam, choć prędko nowe na polu będzie. Gdyby mi z Kurników puda żyta nie pożyczyl, tobym bez chleba siedziała.

— Otóż to, że pożyczyl, — spojrział Kusztejko nienawistnie zukosa, — teraz, jak ludzie za panią, to dla mnie tu życia nie będzie. Lepiej rozejść się po dobremu.

— Chcesz pan sąd polubowny?

— Niechaj będzie sąd polubowny. Jak rozsądzą, tak i będzie. Mnie tu teraz nie życie.

\* \* \*



Pani Zastrożna krzątała się koło stołu, nakrytego białym obrusem. Przed jej domkiem na ganku dymił samowar.

Kusztejko krzątał się naprzeciwko w swoim domku koło stołu, nakrytego szarem płótnem. Na jego ganku dymił samowar.

Zaprosił on na sędziów ze swej strony drobnego obywatela, który uważał się za Rosjanina, ongi był gorliwym krzewicielem rusyfikacji, czułym współnikiem od denuncjacji popa i asesora i nie umiał ani słowa po polsku. Teraz nagle się nauczył, zaprenumerował polską gazetę z Wilna i był napozór lojalny.

Gadano wszelako, że wyczekuje powrotu rządu Romanowów na Litwie.

Drugim jego arbitrem był sołtys Kupała z Kurników.

Na drodze usłyszano turkot. W rozklekotanej bryczuszce zajeżdżał pan Turkiewicz, arbiter Kusztejki. Kusztejko stał na ganku, by go przyjąć. Ale pan Turkiewicz zajechał prosto przed ganek pani Zastrożny.

Znikł we wnętrzu domku i zaraz też służąca Hanula zabrała z ganku samowar.

Samowar Kusztejki dymił dalej samotnie, a on sam chodził i myślał:

— Czegóż on, do diabła, poszedł do tej baby, kiedy ja go prosił?

Stosunki dyplomatyczne z panią Zastrożną były jednak zerwane i nie mógł pójść do jej mieszkania.

Zajechali jeden po drugim arbitrowie pani Zastrożny — milczący i tchnący poczciwością ziemianin Płotkiewicz i rządca magnackiej fortuny, agrom Zielonkiewicz.

Kusztejko widział, jak siedzieli koło stołu i popijali herbatę. Samowar jego zgasł i rura blaszana na nim sterczała melancholijnie.

Wreszcie niespodziewanie od strony ogrodu zjawił się w opłotkach sołtys Kupała i zanim Kusztejko go zatrzymał, znikł we drzwiach kuchennych.

Po długim oczekiwaniu zawołano go do domku dziedziczki. Wszedł nadęty i niezadowolony.

Wszyscy siedzieli już dokoła stołu, na którym stał kałamarz z piórem i leżał czysty arkusz papieru. Przywitano się z nim ceremonjalnie. Kolejno pani Zastrożna i Kusztejko wykładali swe żale.

Ostrożnie i pomału odzywali się arbitrowie. Ale z przemówień ich wynikało, że wszyscy są po stronie pani Zastrożny.

— Ja was prosił po mojej stronie być, — ozwał się Kusztejko z wyrzutem do Turkiewicza i Kupały, — a wy moim chlebem solą wzgardzili i przeciwko mnie mówicie.

— Pani Zastrożna tu już więcej, jak półwieka siedzi, my sąsiedzi, — rzekł Turkiewicz, — my z nią zawsze do czynienia mieć będziem. A pan jesteś obcy człowiek — dziś jesteś, a jutro nie będziesz u nas. Tak jakże my przeciw swojej za tobą obcym stawać będziemy? Jeszcze my i tak wiemy, co pan nieprawy.

— A jakże, — podjął Kupała, — jak pan łajesz panią w Dubowie, tak u nas słyhać w Kurnikach. Nam z panią żyć, a ty przyszedł od bolszewika i bolszewicki twój obyczaj. Dziś ty tu, a jutro ciebie nie będzie. Syn twój po wsiach chodził, namawiał, żeby z bandą na Dubowo iść, panią zabić, a ziemię sobie zabrać — bo, mówi, syn zgnił u bolszewika, nikt się nie upomni...

— Ty mnie świadkami dowiedz, — uniósł się Kusztejko, — a to ja ciebie do sądu za takie słowa.

Kupała zmieszał się i przestraszył. Świadkowie są — ale któż zgodzi się świadczyć? Straszny sąd, ale i od bandy nie spodziewać się dobrego.

— Jeżeli sąd taki, że wszyscy tylko po stronie właścicielki, tak to nie sąd, a komedja! — wstał roz-



czerwieniony Kusztejko. — Do nijakiej my zgody nie dojdziem.

Wyszedł z pokoju na ganek. Ale nagle stanął zdziwiony.

Ku domowi zmierzało kilku starszych włościan. Szli w siwych sukmanach, starodawnym krojem, w płóciennych koszulach, obrośli kłakami brody, niby siwym mchem na odwiecznych konarach.

Zauważyła ich i pani Zastrożna i wraz z gośćmi wyszła przed dom.

Włościanie pozdrowili ich statecznie.

— Do ciebie my przyszli, panie Kusztejko, — powiedział Notik, występując naprzód, — nam od pani krzywdy niema, ale my i jej krzywdzić nie pozwolimy. Nie pójdzie więcej nikt na podzione do ciebie, i nijakiej od nas pomocy nie czekaj. Obcy nam męt przyniosłeś i nie trzeba nam ciebie. Wychodź na swoją stronę.

— Będę siedział, gdzie zechcę, — odwarł Kusztejko i cała jego samowładna natura stanęła dęba.

Ale postawa włościan była dość przekonywująca. Targ w targ — Kusztejko obiecał wyjechać, jak wszystko zbierze, co zasiał.

### XIII.

Komar stał przy niewielkim kopczyku pod sośnami. Na nim próchniał krzyż z zatartym napisem. Ale Komar wiedział:

To była mogiła powstańca.

Oparł się o karabin i marzył. Z głębi piersi ciemno-zielonej wzdychał las. Drobnym, płaczkliwym wstrząsem żaliły się brzozy.

Hej, czy nie on tu stoi na straży Rzeczypospolitej? O, gdybyś powiedział kościom tej mogiły: —

Gdzieś ty poległ, bezimienny herosie, tam ja teraz trzymam straż.

Nagle wstyd przytłoczył go, wbił w ziemię. Zdawał mu się, że plugawi mogiłę.

Siła ostatniego bohaterskiego wysiłku, prąd przystętej ofiary przechowały się w zapadłej mogile, na której wzrósł jałowiec i skąpe kępki wrzosu.

Przetrażone ramiona, pierś pokłuta, głowa przesyta kulami, chociaż już były kształtem z próchna, któryby się rozpadł od zetknięcia z powietrzem, od reki dotknięcia — to jednak te resztki tlejące i bezsilne zachowały niesłyszalny głos i targały za struny napięte w duszy człowieka, który ku tej mogiły się zbliżył.

Wicher zaszumił, pochylił drzewa nad mogiłą, jak salutujące sztandary. I nagle rozpacz rzuciła Komara na kopczyk, twarzą na szorstkie wrzosy.

Objął go rękami, upuszczając karabin i leżał tak, a wicher szumił i zwiewał z niego niezdrowy czad i opary.

Słyszał... słyszał wyraźnie przez ziemię tamtego zabitego szept. Trzymał głowę jakby na piersi jego najdroższej i słuchał słów z tych ust, z których znów mówiła dusza, nie wyzwolona dotąd z męczącego trudu, nie odłączona dotąd od Ojczyzny... Ostatni przedśmiertny krzyk tętnił dotąd w ziemi... Dusza dotąd naciskiem swym zwyż pracowała w obrębie ziemskiej Ojczyzny.

Słyszał, słyszał wyraźnie głos z pod ziemi, ujmował go krwawiącymi fibrami sumienia:

— Tyżeś to na tej rubieży, zalewanej przez obcych, zburzył prawo i ład Rzeczypospolitej?

Odpowiadał wzdychaniem, rozdzierającym piersi:

— Ja, żołnierzu! Cóż mam teraz uczynić?

Szept najcichszy w sosny konarach:

— Odpokutuj! —



Cichy gwizd rozległ się z głębi lasu.  
Komar porwał się na nogi, chwycił karabin.  
Twarz jego stała się groźna i mściwa.

Odgwizdnął.

Z głębi lasu wynurzył się Hadziuk.

Oczyniające jego oczy zielone szły naprzód dwiema smugami spojrzeń, jak para czołgających się gadów. Przyciągały, obezwładniały głębią gnijącą, jak dwa bezdenne jeziora, zarosłe malachitową pleśnią.

Komar czekał, wsparty na karabin.

Hadziuk podchodził czającym się krokiem.

— No i cóż? — zapytał Komar.

— A cóż, policja i wojsko z kulomiotami z dwóch stron nadchodzi. Tylko jedno zostaje: przejść na terytorjum bolszewickie.

— Jakie warunki?

— Wstąpić do oddziałów bolszewickich i rozpocząć natychmiast dywersję na pograniczu.

Hadziuk sondował go badawczo.

— No, i cóż, atamanie, przystajesz?

Komar ocknął się z ciężkiej zadumy.

— Nie przystaję, zdrajco! — rzekł strasznie i zcicha, — co innego wewnątrz Ojczyzny brać własną zuchwałą dłońią kęsy, których mi odmówili, co innego Ojczyznę sprzedawać.

— Mój-że patryjoto! A toż idą z karabinami, z bagnietami na ciebie, oblawa, jak na wilka, za wierność zapłacić!

— Ja ci pierwej zapłacę! — powiedział Komar, unosząc się nagłym, szalonym gniewem.

Podniósł karabin. Hadziuk zwrócił się do ucieczki, lecz strzał dosięgnął go w pół-obrotu. Zwalił się twarzą w dół, u stóp kopczyka zarosłego jałowcem i wrzosem.

Komar zwrócił się do mogiły i salutował ją dawnym, żołnierskim, urwanym.

Potem wielkimi krokami odszedł w głąb lasu.

#### XIV.

Białe, niepokalane szczyty lśniły się śrzeżogami.  
Po jednej stronie perci słały się upłazy. Po drugiej stronie widniało daleko w dolinie Pięć Stawów Polskich. Spuszczały się ku nim poszarpane urwiska.

Dwoje turystów szło percią, a wiatr szumiał im dokoła głowy i obciskał na nich ubranie.

Komar zatrzymał Józję.

— Tu, właśnie, w tem miejscu, gdzie nikt nas nie podsłucha, chciałem -ci powiedzieć...

Józję przeraził jego wyraz twarzy. Usiadła na płaszczu rzuconym przez męża na ziemię. Długą chwilę milczeli. W szczelinach skalnych gwizdał i popłakiwał wiatr.

Kozica wyrzała z załomu skalnego i śmignęła przez przepaść. Orzeł zatrzymał się nad ostrzem górskim, wyrastającym z pośrodku dwóch zboczy, chwiał się przez chwilę nad percią... Skwir jego rozdarł powietrze i ptak popłynął dalej po niebieskiej zatoce wśród chmur.

Józia z roztargnieniem rwała srebrny pęk szarotek. Rozrzuciła je po kolanach i znów zebrała.

— Chciałeś mi coś powiedzieć, — zwróciła się do Komara.

Ataman ocknął się z przebolesnej zadumy. Patrzył na nią wzrokiem nienasyconym, jakim skazaniec po raz ostatni ogarnia najgłębsze piękno swego życia. Słowa nie chciały się wydostać na jego usta. Gdy zabrzmiały nakoniec, zdawało się, że rzną mu gardło, jak noże.

— Czy wiesz, skąd wzięłem bogactwa?

Józia pobladła straszliwie. Dłoń jej rozsypała znowu szarotki. Ukłękła na płaszczu i tchnęła w agonji:

— Skąd?

Komar powiedział cicho:



— Byłem bandytą.

Józia z bezdennym przerażeniem patrzyła na niego. Widać było, że stacza się w zawrotną otchłań. Poderwała się z ziemi. Na twarzy jej było obłąkanie. Jednym skokiem była na krawędzi skalnej...

Komar zdążył zatrzymać ją silną ręką. Niósł ją znowu przemocą, jak wtędy, w dniu porwania. Złożył ją ostrożnie na płaszczu.

Józia zaczęła płakać.

— Cóż mam robić? — zapytał Komar, — powiedz, usłucham ciebie.

Józia podniosła się. Jej-że to głos, czy własny jego głos wewnętrzny powiedział znowu:

— Pokutuj!

Komar pochylił głowę z rozdzierającym uśmiechem.

— Pokutowałem. Grzech — to męczeństwo. Czyniący źle sam siebie biczuje krwawymi razami.

— Przejdź wszystkie stacje grzechu i na każdej złóż zadośćuczynienie.

— Jakże mam to uczynić? Nałożono cenę na moją głowę. Wyścigano mnie i wyszczuto ze wszystkich legowisk na mojej ziemi.

Namyślał się, coraz bardziej blednąc i posepniejąc.

— Chyba tam, za ocean nieść głowę przeklętą... I nagle objął nogi Józia.

— Ty pójdziesz za mną, ty pójdziesz za mną... Bez ciebie zgaśnie dzień. Bez ciebie nakaz prawa Bożego straci swoją oczywistość. Pójdź za mną — ratować mnie w grzechu, jak ratowałabyś w ciężkiej chorobie!...

Józia dźwignęła się na nogi. Chwila słabości minęła.

Poczuła przy boku swym cierpienie, wyglądają-

ce, jak cień, a ciężkie, jak granit. Odtąd już na zawsze objęło przy niej straż...

— Nie, — powiedziała, — ja muszę wrócić tam, gdzie mocniej zaplątał druty, które wróg przeciągnął po naszej ziemi. Muszę tam iść za ciebie... Pozrywać druty... Pozrywać druty!...

KONIEC.



174664



#### SPROSTOWANIE.

W powieści Gamastona „Fata Morgana“ (tom 28 „Bibl. Domu Polskiego“) w tomie I na str. 24 wkraść się fatalny błąd wskutek nieuwagi poprawiającego, wynikły z powodu *przestawienia* jednego wiersza, a mianowicie: wiersz 10 od góry winien być *przestawiony* jako 14-ty od góry, co niniejszem prostujemy.



## Rok 1925:

1. Kalendarz-Informator na r. 1925.
2. J. I. Kraszewski. „Pamiętniki Mrocza”. Powieść historyczna.
3. Władysław Syrokomla. „Kasper Karliński”.
4. W. Kosiakiewicz. „Nasz Mały”. Opowieść na tle życia Warszawy.
5. M. Rodziewiczówna. „Ryngraf”, „Złota dola”.
6. A. Ossendowski. „Po szerokim świecie”.
7. H. Rzewuski. „Pamiętki Soplicy”.
8. 9. 10. Wołody Skiba. „Nad poziomy”. Powieść z roku 1863 w 3-ch tomach.
11. M. Smolarski. „Białe moce”. Powieść z życia korsarzy polskich.
12. A. Strug. „Ich syn”. — Nowele.
13. J. I. Kraszewski. „Emisarjusz”. Powieść.
14. W. Rapacki. „Król Husytów”. Powieść historyczna.
15. E. Słoński. „W więzieniu”. — Nowele.
16. 17. K. Laskowski. (El). „Kulturtraeger”. Powieść współczesna w 2 tomach.
18. K. Przerwa-Tetmajer. „Z Wielkiego Domu”.
19. J. I. Kraszewski. „Ongi” (Krwawe znamię).
20. 21. A. Gruszecki. „Tam, gdzie się Wisła kończy”. Powieść w 2-ch tomach.
22. W. Rapacki (syn). „Tygrys Bengalski”. Humoreski.
23. W. Gomulicki. „Pamiętki Kościuszkowskie”.
24. 25. Maciej Wierzbński. „Dolar i Spółka”. Powieść w 2-ch tomach.
26. L. E. Migasiński. „Na progu pustyni”, z 20 ilustracjami.
27. A. Mickiewicz. „Wybór poezji”, ze wstępem J. Maciejowskiego.
28. 29. Gamaston. „Fata Morgana”. Powieść w 2-ch tom.
30. A. Zahorska. „Odrutowana okolica”. Powieść.
31. G. Olechowski. „Buntownicy”. Nowele.
32. St. Cieszkowski. „Stanisław Staszic”. Monografia.
33. M. Domańska. „Blaski”. Powieść.
34. W. Lutosławski. „Wojna wszechświatowa. Jej odległe przyczyny i skutki”.
35. M. B. Lepecki. „Zazdrosna Dżungla”. (Opowieści egzotyczne).
36. Wł. Belcikowski. „Sekta Złotego Smoka”. Powieść.



**BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO**

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA Nr. 31-a.

KONTO P. K. O. Nr. 9779.



# BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

---

---

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie ( 9 tomów). . . . .	3 zł. 60 gr
Półrocznie (18 „ ). . . . .	7 „ 20 „
Rocznie (36 „ ). . . . .	14 „ — „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedynczego 65 gr.

ROK	I
<hr/>	
TOM	XXX